

● DOKĄD ZMIERZA PZPR? ● DLACZEGO ZGŁADZONO PPŁK. „NURTA”? ●
● NONSENSY PLANOWANIA CZY PLANOWANIE NONSENSÓW ● KUĆ ŻELAZO,
PÓKI GOR ... BACZOW ● O SZATANIE I RUSHDIM ●

TYGODNIK
WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 16-22 III 1989 R.

NR 9

CENA 50 ZŁ

**„WYTWORZYŁA SIĘ DZIWAČNA
SYTUACJA, ŻE JEST W POLSCE WIECZNIE
RZĄDZĄCA PARTIA I WIECZNA OPOZYCJA...”**

DOKĄD?

**Rozmowa z doc. dr.
Mieczysławem Krajewskim
socjologiem, politologiem,
z-cą red. nacz. „Literatury”**

— Wygląda na to, że oddajecie władzę?

— To znaczy, kto?

— Partia, którą pan od lat reprezentuje, czyli PZPR.

— Czas najwyższy. Powiedziałbym, że byłoby szczęściem dla PZPR, gdyby miała komu tę władzę oddać. Problem polega na tym, że należałoby przekazać władzę innej partii o orientacji socjalistycznej; byłoby to z pożytkiem dla PZPR i dla kraju. Natomiast, jak rozumiem, pan utrzymuje, że oddajemy władzę niepełnie i nie w pewne ręce. Uściślając odpowiedź na to pytanie i odnosząc je do realiów, powiedziałbym, że przy „okrągłym stole” raczej nie będzie rozstrzygnięta kwestia docelowego modelu socjalizmu w Polsce. Natomiast są czynione pewne kroki w kierunku określenia modelu władzy. Jakże?

Otóż, po pierwsze — próba budowania warunków dla tworzenia się więzi lokalnych, budowania oddolnej infrastruktury demokratycznej. Przy czym ja, w odróżnieniu od innych dyskutantów przy „okrągłym stole”, inaczej pojmuję funkcję tej infrastruktury. Uważam bowiem, że główny problem nie wynika tu z antynomii: partia — opozycja, lecz z konfliktu kulturowego pokoleń. Pewna epoka kulturowa wyraźnie się kończy. Nowa epoka żyje i nabiera wyrazu wśród młodej części naszego społeczeństwa. To jest antynomia: zdecydowana większość Polaków, jakiegoś 70 proc. narodu do lat czterdziestu — a cała reszta! Tak się u nas złożyło, że w istocie władza i opozycja lokują się powyżej czterdziestki. Tymczasem między wspomnianą grupą większości społeczeństwa, tej młodej części, a moim pokoleniem istnieje wielka rozwarłość kulturowa. Myśmy do tej pory zazwyczaj mówili o subkulturze młodzieżowej, o zbuntowanej młodzieży, rejestrowali pojedyncze problemy młodzie-

ty, słowem — poruszali się po marginesie tego zagadnienia. A prawda jest brutalnie odmienna. Istnieje raczej podkultura postalinowska, podkultura „peryferyjnego socjalizmu”, której rzecznikiem jest PZPR, zaś przeciwnikami — w sensie lustrzanego odbicia — przedstawiciele opozycji. Jednak jedni i drudzy to dzieci tej samej epoki. Oni rozmawiają ze sobą przy stole. Tymczasem to, co jest nowe, nowoczesne, kwalifikowane, faktycznie nie jest reprezentowane w żadnych strukturach — politycznych, społecznych czy też gospodarczych. Proszę zauważyć, jak daleko to poszło; ta część młodych w wieku do 34 lat, która sama stanowi połowę społeczeństwa, ona wyłącza telewizor w momencie kiedy odbywają się dyskusje wewnątrz mojego pokolenia. Zerwała się cała komunikacja, tu nie ma o czym ze sobą rozmawiać. Można nawet powiedzieć, że rozmawiamy obcymi językami.

— Pańskim zdaniem, dlaczego tak się stało?

— Tempo zmian cywilizacyjnych, politycznych w czołówce, do której aspirujemy, wytworzyło taką sytuację, że dziś n'e tyle młodzi uczą się od dorosłego pokolenia, ale przeciwnie — dorosłe pokolenie uczy się od młodej części społeczeństwa.

— To jest lekka przesada...

— To nie jest żadna przesada! Proszę, oto przykłady. Od banalnych: kostka Rubika, komputery, nowoczesne pojmowanie przedsiębiorczości, poprzez wyznawaną hierarchię wartości z troską o rodzinę, tak humanitarną rzeczą, którą to pokolenie niesie ze sobą. A podejście do idei walki klasowej? Jeżeli dotąd walka klas polegała na niszczeniu przeciwnika, to młode pokolenie już wie, że idzie o consensus, a nie o to, że mamy zniszczyć imperializm lub on nas. Ze musimy szukać sposobu przetrwania ludzkości. Stąd obecność młodych w ruchach ekologi-



Ludzie się dziwią, że ciągle jeszcze czegoś chcę — str. 6—7

cznych, ugrupowania „zielonych”. To jest nowe podejście. Przecież klasy się nie zmieniły, narody nie zniknęły, podziały istnieją, ale zmieniła się optyka ich widzenia: nie będziemy się rozwijać przez zniszczenie! Ta nowa świadomość kulturowa jest bardzo dynamiczna, natomiast całe moje pokolenie jest skostniałe, tkwi nadal w „kulturze planu 6-letniego”.

Bieg historii wtoczył nas w peryferyjny, wzorcowy socjalizm sześciolatkowy. I gdybym był złośliwy, to powiedziałbym tak: główny nurt kultury prezentuje młode pokolenie, a kultura mojego pokolenia jest właściwie podkultura.

— Powiada pan, że pańska generacja uczy się od młodych. Tylko, że ten dynamizm młodego pokolenia w różnych dziedzinach: ekonomicznej, kulturowej, stylu bycia czy sfery wyznawanych wartości, nie może się przebić do sfery uznanej oficjalnie. Nie może nabrać charakteru instytucjonalnego i wpływać tym samym na nasze losy, na nowoczesne przemiany społeczeństwa.

— To wynika z zablokowania młodego pokolenia. Weźmy gospodarkę. Przecież od lat 60. nie mamy istotnego postępu, jeśli idzie o strukturę gospodarczą, to znaczy mamy do czynienia z taką strukturą gospodarczą, która jest już obsadzona. A na czym polega awans nowego pokolenia? Na tym, że ono buduje całkiem nową strukturę. Kapitalizm dokonał w tym czasie dwukrotnej przemiany, której my nie dokonujemy.

Po pierwsze, przeszedł to, co się potocznie nazywa „amerykanizacją” gospodarki krajów wysoko rozwiniętych, a co polega na tworzeniu nowoczesnego przemysłu skierowanego na rynek konsumpcyjny, w tym i młodzieżowy. Amerykanie przecież nauczyli Europę żuć gumę, ubrać w dżinsowe portki i kurtki większość ludzkości.

— Dobrze na tym sarablając...

— Naturalnie; tak! Ale równocześnie uformowali nowy styl bycia i ży-

Dokończenie na str. 2—3

relacje ZE ŚWIATA

● W WIEDNIU spotkali się ministrowie spraw zagranicznych państw sygnatariuszy Dokumentu Końcowego z Helsinek. Zainaugurowali oni konferencję 35 państw, poświęconą środkom budowania zaufania i bezpieczeństwa w Europie, jak również rokowania 23 państw Układu Warszawskiego i NATO w sprawie konwencjonalnych sił zbrojnych w Europie.

Wiadomości, które nadchodzą z Wiednia, są pełne optymizmu i nadziei: „Zarówno Wschód, jak i Zachód wyrażają zdecydowaną wolę redukcji zbrojeń i budowy porozumienia na Starym Kontynencie”.

● PREZYDENT STANÓW ZJEDNOCZONYCH, G. Bush — jak pisze „THE GUARDIAN” — usłyszał od przedstawicieli rządu i naukowców specjalizujących się w problematyce radzieckiej, że „pakiet reform Gorbaczowa jest zagrożony, nawet jeśli on sam pozostanie przy władzy”. I dalej: „W opinii doradców Busha należy skłonić radzieckiego przywódcę do wstrzymania lub nawet odwrócenia biegu pieriestrojki. Obawiają się oni, że Gorbaczow i jego najbliżsi polityczni sojusznicy są coraz bardziej spychani na margines, w

swoiste getto polityki zagranicznej, pozostawiając konserwatomom z Kremla kierowanie polityką wewnętrzną”.

● „GENERAL MOTORS” NA WĘGRZECH. Jeżeli wierzyć źródłom amerykańskim, ten największy na świecie producent samochodów wszedł w porozumienie z Węgrami i zamierza wybudować tam wielkie zakłady samochodowe. Ich produkcja pokryje w pełni zapotrzebowanie naszych bratanków na pojazdy oraz będzie kierowana na rynki zachodnie. My się przyzwyczajamy, a Węgrzy będą mieli. (I)

● ŁĄCZNE ZADŁUŻENIE 7 europejskich krajów socjalistycznych wynosi 130 mld dolarów; w tym: ZSRR — 40,1 mld., Polski — 38,7, NRD — 19,1, Węgry — 17, Bułgarii — 6,9, Czechosłowacji 5,2 i Rumunii — 3,1 mld. Najbardziej krytycznie ocenia się sytuację Polski, gdyż na spłatę długu potrzebna jest wartość jej eksportu z ponad 4 lat, podczas gdy w ZSRR tylko z 5 miesięcy.

● MATKA TERESA z Kalkuty wyraziła zamiar wystąpienia z apelem do premiera Pakistanu, pani Bhutto, o interwencję na rzecz uwolnienia ra-

dzieckich żołnierzy pozostających w rękach afgańskich grup rebelianckich. Impulsem stał się list z ZSRR, w którym matka prosi ją o pomoc w odnalezieniu syna zaginionego w Afganistanie. Liczbę radzieckich żołnierzy przetrzymywanych na terytorium Pakistanu, ocenia się na około 300.

● W PRASIE BIAŁORUSKIEJ opublikowano szczegółową mapę — dotychczas tajną — skażenia radioaktywnego terytorium tej republiki, które nastąpiło w wyniku katastrofy w Czarnobylu. Utrzymujący się wysoki poziom skażenia radioaktywnego to przyczyna, dla której ewakuowano ostatnio 20 kolejnych wsi białoruskich.

● W IRANIE za przemyt i handel narkotykami stracono od początku tego roku 226 osób.

● PO RAZ PIERWSZY kraje skandynawskie (Norwegia, Dania, Finlandia, Szwecja i Islandia) odwiedzi papież Jan Paweł II w trakcie swojej 42 podróży zagranicznej.

● WŁADZE CZECHOSŁOWACJI — po niedawnych demonstracjach w Pradze — uchwałyły dekret o umocnieniu porządku publicznego. Podwyższa on wielokrotnie sumę grzywnien oraz zastrza przepisy dotyczące zgromadzeń.

● WŁADZE WĘGIERSKIE zgodziły się na akredytację w Budapeszcie stałego korespondenta radia „Wolna Europa” i „Swoboda”.

● GDANSKI TYGODNIK „WYBRZEŻE” piórem Józefa Kuśmierka dowodzi, że „za jedną krowią skórę można uzyskać o 171 dolarów i 11 centów więcej niż za tonę miedzi elektronicznej”.

● TOWARZYSTWO KULTURY POLSKIEJ ZIEMI LWOWSKIEJ złożyło wizytę w Polsce. Delegacja z przewodniczącym Towarzystwa, prof. dr. Leszkiem Mazepą, została przyjęta przez władze Towarzystwa „Polonia” z prezesem Tadeuszem W. Młynczakiem i sekretarzem generalnym Józefem Klasą. (Wywiad z L. Mazepą opublikujemy w numerze 11). (I)

● „NA PÓLKACH” nadal znajdują się cztery filmy fabularne i 31 dokumentalnych — z oświadczenia prezesa Stowarzyszenia Filmowców Polskich, Janusza Majewskiego.

● „POLONEZ” — to tytuł zamierzanego amerykańskiego filmu o Lechu Wałęsie. Reżyserować go będzie Stanley Kramer. Pomoc techniczną przy realizacji tego obrazu zapewni Wroclawska Wytwórnia Filmów Fabularnych.

● BRAZYLIJSKI SERIAL „W kamiennym kręgu” zgromadził, ku zaskoczeniu nie tylko przeciwników, ponad 20-milionową widownię. Pożegnanie z mecenasem Prado i jego córkami w wielkanocną niedzielę.

● W UZUPEŁNIENIU informacji o powstaniu w Lublinie oddziału Związku Sybiraków dodajmy, że tymczasową siedzibę oddziałowi zapewnił Wojewódzki Komitet SD (Rynek Starego Miasta 18, p. 14); dyżury pełnione są w każdy wtorek i czwartek w godz. 16—18 oraz w soboty w godz. 13—16. W porze dyżurów czynny jest telefon 220-19.

Oddziały Związku Sybiraków zorganizowane zostają niebawem w Białej Podl., Chełmie i Zamościu, o czym w stosownym czasie poinformujemy.

● GRUZIŃSKI TEATR „BERIKONI” gościł w Lublinie na zaproszenie Teatru Lalki i Aktora im. Andersena. Goście czterokrotnie zaprezentowali się na scenie lubelskiego teatru, pokazując znany musical „Mary Poppins” i przedstawienie wprowadzające w świat urokliwego kolorytu gruzińskiego — „Obrazy tbiliskie”. Oba w reżyserii Rawana Gukua. Aktorami teatru są dzieci i młodzież, a przed dwoma laty został on laureatem ogólnoradzieckiego festiwalu w Moskwie. We wrześniu br. lubelscy lalkarze udadzą się do Tbilisi z rewidzją. (II)

KSIAŻKI

„dla dzieci z dwu polskich szkół we Lwowie złożyli ostatnio w naszej redakcji: p. Bukowski, Dariusz Waraczewski, Sergiusz Riabinin (w tym dzieła Sienkiewicza), Zbigniew Laskowski. Dziękujemy!

Oprac. Zbigniew Miazga

Dokończenie ze str. 1

cia, wywołali potrzeby i konieczność tworzenia nowoczesnych przemysłów na nie zorientowanych. I druga rewolucja: domowo-mieszkańcowa. Nowe koncepcje architektoniczno-urbanistyczne, koncepcja przestrzennego zagospodarowania, całkiem nowy przemysł budowlany. Nowa wyobraźnia. Mieszkania przestały być miejscami do spania. Nasza struktura gospodarcza absolutnie nie stwarza takich możliwości.

Po drugie, istnieją hamulce natury społecznej. My traktujemy ludzi do 34 roku życia jako młodzież, a to jest przecież kosmiczna bzdura. Młoda część społeczeństwa — zgoda! To jest główna siła produkcyjna i nie można działać tak, że się znajdzie parę wentyli i rozładuje jej społeczne stresy. Ze częścią wyjedzie za granicę, niektórzy pójdą do sektora prywatnego, a główna część pokolenia, robotnicy stanowiący 70 proc. załóg, będzie pozbawiona swojej suwerenności. To jest dzisiaj grupa strajkująca i zarzewie opozycji.

— I główne niebezpieczeństwo dla partii. W ostatnich latach odpłynęło z PZPR kilkaset tysięcy, młodych głównie, ludzi. Średnia wieku w partii sięga coś około 56 lat i jeśli ta tendencja się utrzyma, to można ryzykować twierdzenie, że problem kierowniczej roli partii rozwiąże się sam.

— Tak, przez śmierć biologiczną.

— A co potem?

— Proszę pana, tu chodzi o coś więcej niż odrodzenie się partii — o odrodzenie się ruchu robotniczego. Partia jest fragmentem szerszej sprawy. My teraz przechodzimy z pewnego fałszywego układu, w którym PZPR odgrywała taką rolę jak do tej pory, do układu, mam nadzieję, normalnego. I w tej chwili ta nowa lewica, jak sądzę, będzie się formowała (jakieś dwa, trzy lata) jako lewica antypełpeerowska, walcząca o oddanie władzy przez PZPR. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

— I pan to mówi z takim spokojem!?

— A dlaczego nie? Właśnie to jest nadzieja! Przecież żaden ustrój nie może się rozwijać, jeśli jedna partia jest nieustannie przewodząca. Ustroje dynamiczne są to takie ustroje, w których istnieją co najmniej dwie partie zorientowane na dany system społeczno-polityczny, zdolne przekazywać sobie władzę. Ta partia, która znajduje się w opozycji, w naturalny sposób skupia doświadczenia zakorzeniania się w nowym pokoleniu i wnosi to nowe pokolenie do władzy po wygranu wyborów. Wszystkie demokracje zachodnie mają taki właśnie dwupartyjny układ i proszę zauważyć, że dynamiki kapitalizmu nie „robi” tam spór między komunistami a partiami burżuazyjnymi, tylko ugrupowania zdolne przekazywać sobie władzę. Jeśli, powiedzmy, socjaldemokraci przejmują władzę od konserwatystów, to jest to również zmiana pokoleniowa. A doświadczenie młodszego pokolenia staje się oficjalnym doświadczeniem państwa. Tak więc szansą dla PZPR jest nowa partia, która wyłoni lewicę nowego pokolenia i będzie mogła przejąć władzę.

— No, to już jest herezja. Czy...

— Niech pan się przestanie bawić w inkwizytora, bo nic pan nie rozumie. PZPR jest na razie strażnikiem ładujajtańsko-poczdamskiego, gwarantem tego ładuj. Suwerenności, niepodległości możemy bronić tylko w obrębie Układu Warszawskiego, choć przecież taka sytuacja nie jest na wieczność. Jednakże z tego właśnie powodu PZPR jest jakby niezastępowalna.

— O ile rozumiem, to jej daje podstawowy mandat do sprawowania władzy?

— Tak jest! Nie ma takiej partii politycznej, która by spełniała ten warunek i mogła przejąć władzę. W związku z tym wytworzyła się dziwna sytuacja, że jest w Polsce wiecz-

relacje Z KRAJU

● 62 PROCENT ankietowanych przez OBOP wyraziło przekonanie, że w wyniku „okrągłego stołu” dojdzie do porozumienia między władzą a opozycją; 17 proc. było przeciwnego zdania. O tym jak będzie w ścisłości — przekonamy się już wkrótce. 3 kwietnia odbędzie się bowiem plenarne, zmierzające już do finału, posiedzenie „okrągłego stołu”. Takie postanowienie zapadło podczas kolejnego spotkania: Kiszczak — Wałęsa.

Przypomnijmy, że strona koalicyjno-rządowa i solidarnościowo-opozycyjna osiągnęły porozumienia o powołaniu drugiej izby parlamentu — senatu (jego skład wyłoniono by drogą swobodnej rywalizacji kandydatów) i o utworzeniu urzędu prezydenta.

Spośród zespołów problemowych „okrągłego stołu” jako pierwszy zakończyli swoje obrady — „rolnicy”.

● EDWARD RACZYŃSKI, od 1934 do końca wojny ambasador Polski w Londynie, w latach 1979-86 prezydent Rzeczypospolitej na Obczyźnie, w wywiadzie udzielonym „Przeglądowi Tygodniowemu” powiedział m.in.:

„Chociaż bieg politycznych wydarzeń tak pokierował moim losem, że stałem się emigrantem, to myślami i uczuciami nigdy nie opuściłem Ojczyzny. Ciągle byłem i jestem w niej obecny, i życzę Polsce jak najlepiej, w swoim życiu zawsze starałem się służyć rodakom, odkładając na daleki plan swoje sprawy osobiste. I tak jest nadal.

Na bieżące wydarzenia w Polsce patrzę z nadzieją i zarazem trwogą. Narzeczcie rząd i opozycja usiedli przy jednym stole i zaczęli rozmawiać.

[...] Cieszę się, że młody tygodnik [tzn. „Przegląd Tygodniowy” — Z.M.] i młodzi ludzie podejmują się misji łączenia Polonii z Ojczyzną. Szkoda tylko, że trzeba było czekać aż pół wieku, zanim zrodziły się warunki to umożliwiające”.

● JESLI DZIŚ budowlani przystąpili do wznoszenia budynku, w którym znaleźć się ma Twoje spółdzielcze M-4 (50 m kw.), klucze masz szansę otrzymać za trzy lata: koszt metra kwadratowego — o ile utrzyma się obecna stopa inflacji — wyniesie 0,5 mln zł, a z tytułu czynszu i spłaty kredytu płacić będziesz ponad 100 tys. zł miesięcznie.

relacje Z REGIONU

● SZYBY W STEFANOWIE już wkrótce miały być wykorzystane przez kopalnię w Bogdance do dalszej eksploatacji pokładów węgla. Niestety! Jak się przypuszcza, na skutek zaniechania pewnych robót, w jednym z tych szybów, na poziomie 540 m, pod ogromnym ciśnieniem 60 atmosfer — wypłynęła kurzawka. Akcja ratunkowa zakończyła się niepowodzeniem (pompki nie nadążyły z odprowadzaniem wody). Przed kilkoma dniami podjęto decyzję o zatopieniu obydwu szybów, do poziomu wyrównującego ciśnienie hydrostatyczne. W najlepszym przypadku oznacza to znaczne i pociągające ogromne koszty, opóźnienie robót.

● Z CHYBA RZECZYWISZCIE NIEZAPOWIEDZIANĄ WIZYTĄ przebywał w Dęblinie premier M. F. Rakowski. Po pojawieniu się w Urzędzie Miasta najpierw odbył rozmowy z urzędnikami (temat: dobra ziemia oraz powinna trafić pod uprawy, a nie pod inwestycje), jako że gospodarze Dębłina uczestniczyli właśnie w narażeniu. W ciągu dalszym wizyty premier zainteresował się problemami gospodarczymi i komunalnymi miasta, zwiędził także „lotniczy” Dębлін.

● KOMITET FABRYCZNY PZPR lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych, noszącej imię Bolesława Bieruta, wystąpił z wnioskiem do dyrektora i Rady Pracowniczej „o podjęcie działań w celu zmiany nazwy zakładu”. Wnioskodawcy stwierdzają dalej:

„Jesteśmy zdania, że nowa nazwa przedsiębiorstwa nie powinna zawierać imion i nazwisk ludzi, bądź nazw własnych organizacji czy też grup”.

● LUBLINIANKA ROKU 1988 — w wyniku tradycyjnego plebiscytu „Kuriera Lubelskiego” — została zakorzenica, pielęgniarka Zofia Prajsnar (siostra Ascelina).

● PODWYŻKI CEN nie omięły Urzędu Stanu Cywilnego. Oplata za ślub wzrosła dziesięciokrotnie (do 5 tys. zł), podobnie i należności za dokumenty wydawane przez USC.

● W TARNOGÓRZE (woj. zamojskie), na rzece Wieprz, znajduje się jedna z nielicznych w naszym regionie prywatna elektrownia wodna. Nie pożera węgla, nie zanieczyszcza środowiska; a usytuowana na krańcu sieci przesyłowej, straty towarzyszące przesyłaniu energii — zmniejsza. Jej właściciel, inż. Witold Janowicz, za kWh otrzymuje 13 zł, czyli o 4 zł 20 gr mniej niż elektrownia państwowa, pożerająca węgiel itd.

● NIEWYPAŁY, które moje pokolenie wygrzebało z ziemi, albo też znalazło w ruinach, rozbił się na części, by odzyskać proch, lub wrzucało do ogniska. Zmieniły się jednak czasy. Chłopcy, którzy w niecce stawowej parku miejskiego w Zamościu znaleźli dwa granaty — niewypały, zanieśli je muzeum z Arsenału. Saperzy w parkowej niecce natrafili na dziesięć dalszych granatów.

DOKĄD ?

nie rządząca partia i wieczna opozycja. To jest układ nienormalny. Powoduje on utrwalenie się stereotypu: robmy nowoczesny kapitalizm lub robmy nowoczesny socjalizm. Otóż, twierdzą, że nowoczesny socjalizm nie da się zbudować bez przeanalizowania doświadczeń ekonomicznych, społecznych i kulturowych wysoko rozwiniętych krajów.

Swego czasu Lenin mówił o kapitalizmie państwowym w interesie i pod kontrolą robotników, rozumianym jako kapitalizm nowoczesny ze wszystkimi tego konsekwencjami; przedsiębiorczością, efektywnym działaniem, ruchliwością kapitałów itd. Postulował przeciwko pozostawieniu właścicieli jako zarządzających. Tyle tylko, że dochód od kapitału i od pracy byłby kontrolowany. A więc była to próba robienia czegoś doskonalszego niż kapitalizm. Dzisiaj ta część młodych marksistów, z którymi mam kontakt, właśnie takimi kategoriami myśli. Ich już nie interesuje, czy to, co ma być, to będzie trochę lepsze od tego, co było. Mają to w głębokim poważaniu, czy my będziemy ten peryferyjny socjalizm doskonalić.

— Użył pan formuły leninowskiej, jakiego kapitalistyczno-socjalistycznego eklektyzmu. Dla mnie to jest konstrukcja zgola idealistyczna.

— Dlaczego idealistyczna?

— Praktyka budowania „realnego” socjalizmu tylko w krótkim okresie potwierdziła jego przydatność, skuteczność ekonomiczną przede wszystkim. Poem ujawnił się jego zacofany, wręcz wsteczny charakter.

— Praktyka zmierzała do stworzenia nie „kapitalizmu w interesie i pod kontrolą robotników”, ale do wzorcowego socjalizmu. Na tym polegała stalinizacja. Jedyne doświadczenia, do jakich można by się tu odwołać, to lata NEP-u w Związku Radzieckim i lata 1944—1947 w Polsce. To są okresy, gdzie można próbować szukać zaprzeczenia lub potwierdzenia tej konstrukcji. Doświadczenie w każdym razie nie mówi, że zbudowanie takiego modelu jest niemożliwe. Stalinizacja socjalizmu była kresem prób budowy nowoczesnego socjalizmu, była jednocześnie — od czego wyszliśmy — pogrzebem ruchu robotniczego stawiającego sobie za cel zbudowanie takiego nowoczesnego socjalizmu.

— Właśnie, czy nie sądzi pan, że wielką częścią idei ruchu robotniczego, jego tradycji i nawet frazeologii — myślę o polskim ruchu robotniczym — przechowały się w postaci masowego ruchu, jakim jest „Solidarność”?

— Zgadzam się. Chcę panu jednak zwrócić uwagę na coś innego, na fakt z okresu, kiedy „Solidarność” powstawała. Na I Zjeździe „Solidarności” w Gdańsku średnia wieku delegatów była o trzy lata niższa, aniżeli przeciętna wieku delegatów na Zjazd ZSMP, który odbywał się w tym samym 1981 roku. Od tego czasu ci młodzi burżyciele zmienili się, zaakraglili nieco, włosy im się przerzedziły. Urządzili się już trochę, przetarli na Zachodzie, nawiązali kontakty ze spółkami, kontakty międzynarodowe. To oczywiście żadna wada, ale w każdym razie nie jest to już tamto sproletaryzowane pokolenie. Wtedy jednak był ich bunt wspólnym pokoleniowym protestem, który nie znajdował żadnego odbicia w oficjalnych strukturach.

— Zdumiewa mnie to, jak bardzo negatywnie, ocenia pan własne pokolenie, pokolenie sześćdziesiątki, jak pan powiada. Ja bym powiedział — martenowski. Jestem tym więcej zaskoczony, iż w obiegowej opinii uchodził pan dotąd raczej za partyjny żelazobeton...

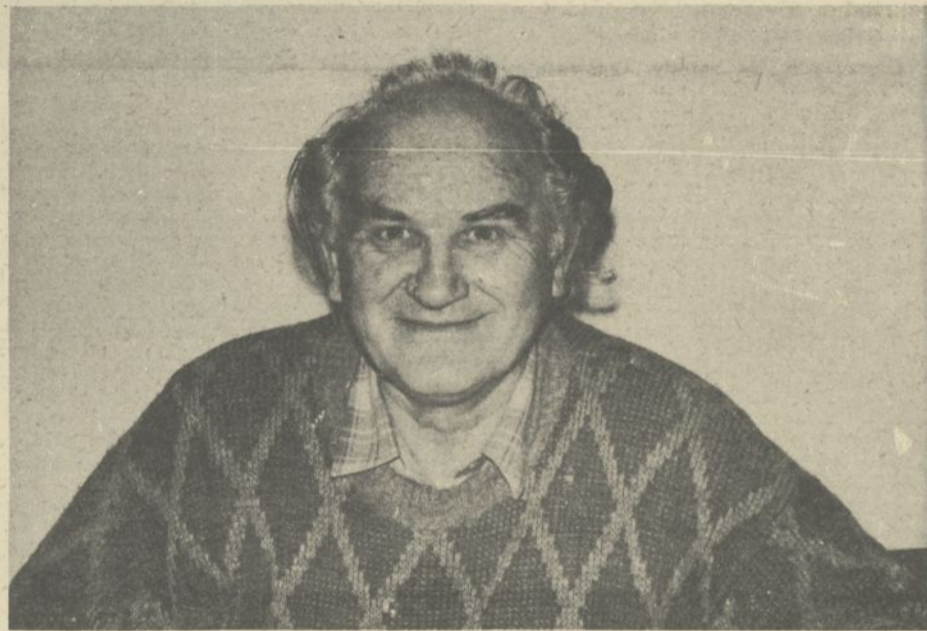
— Oczywiście usiłuje pan mnie prowokować, bo nie wiem skąd, u diabła, wytrzasnął pan taką opinię. Ale to nic, ponieważ zawsze uważałem się za reformatora. Oczywiście, jestem komunistą. Natomiast nie uważam, by moje poglądy były rewelacją wobec tego, co faktycznie mówiłem i pisałem w

ciągu ostatnich, powiedzmy, piętnastu lat. Moja ewolucja polegała chyba jedynie na tym, że coraz ostrzej i krytyczniej analizowałem własne pokolenie, które — i to nie ulega wątpliwości — jest formacją wyrosłą ze stalinizmu. Pokolenie to ma na swoim koncie tyle autentycznych dokonań lat 1944—47, że może tym ostrzej widzieć klęskę stalinizacji socjalizmu. Proces przewycięzania stalinizmu jest sprawą także dla każdego pojedynczego strzelca, nie tylko dla legionu, w którym służy. Mnie ta opinia nie zaskakuje, mimo że widzę przejrzystość swoją linię działania. Mam raczej opinię radykała partyjnego, który wyprzedza te etapy, jakie przeżywa partia w procesie destalinizacji.

— Doświadczył pan swego czasu na własnej skórze działalności kolegów partyjnych?

— Nie swego czasu. To jest cała życiowa linia, z konsekwencjami jej przyjęcia. Rzecz polega na tym, iż po roku 1948 innej wersji ruchu robotniczego i komunistycznego jak stalinowska nie było. Przed każdym, komu to nie odpowiadało, stały dwie drogi: albo przejść do opozycji, albo usytuować się na skrzydle stalinowskiego ruchu robotniczego, takiego jakim on był. Oczywiście, istniały rozmaite orientacje w partii komunistycznej, ale nie bardzo wyobrażam sobie takie rozwarcie ideowe między własną partią i sobą, żeby człowiek się w tej partii nie zmieścił. Natomiast głównym kryterium, różnicującym w partii zwolenników i przeciwników stalinizmu, był, aż do lat 80., stosunek do protestu robotniczego. To znaczy, w moim odczuciu, ci wszyscy, którzy w protestach robotniczych od Października dostrzegali próby przebijania się postępu, prezentowali niestalinowskie stanowiska. Niezależnie od tego, jak zachowywali się w innych sprawach.

— A dziś jak przebiegają podziały w partii? To, że one występują, staje się z wolna czymś oczywistym. Jakże zatem orientacje można wyróżnić dzi-



Fot. Andrzej W. Pawluczuk

— Wśród komunistów w Polsce, jak wyobrażacie sobie wizję polskiego socjalizmu? Ja odnoszę czasami wrażenie, że przedstawiciele establishmentu partyjnego, nie mówiąc już o rządowym, używając tej samej frazeologii, mają na widoku diametralnie odmienne widzenie przyszłości.

— Na Konferencji Ideologicznej PZPR, a zwłaszcza w trakcie przygotowań do niej, istotnie zarysowały się poważne różnice stanowisk. Osobiście wyróżniłbym pięć orientacji, które postaram się omówić.

Pierwszą określiłbym jako nowoczesny socjalizm samorządowy, upatrujący najważniejsze zadania w uwłaszczeniu pracujących, uspołecznieniu ich warsztatów pracy, przy czym mylnie utożsamia się jej zwolenników z jugosłowiańskim modelem socjalizmu. Głównymi wyznawcami tej koncepcji są profesorowie Gilejko, Wójcik, grupa związana z Instytutem Badań Klasy Robotniczej i z ruchem samorządowym. Miałoby to polegać na nadbudowaniu nowoczesnego systemu polityczno-państwowego na uspołecznione stosunki pracy, z upodmiotowionymi załogami. O tyle jest to właśnie różnica w stosunku do Jugosławii, gdyż takie rozwiązanie pociągałoby strukturę samorządową do góry, tworząc pe-

wną pertyfikację, mało dynamiczny układ.

Drugą orientację określiłbym jako historiozoficzną. Uznaje się w niej pewne generalne formy kształtowania się ustrojów. Bada się przebieg powstawania różnych systemów polityczno-ekonomicznych i na tej podstawie formuluje postulatywny model. Zwolennicy tej koncepcji utrzymują, że nowe ustroje formują się zazwyczaj na peryferiach, w drodze negacji i niszczenia tego co minione. Mają one swój barbarzyński okres, kiedy wyłaniają się wszystkie prymitywizmy, niedojrzałość ideowa i to jest nieuchronny etap. Obecnie — zdaniem wyznawców tej tezy — mamy właśnie do czynienia z kryzysem „barbarzyńskiej fazy socjalizmu”. Główną zatem sprawą jest jego ucywilizowanie, tzn. otwarcie na Zachód, dopracowanie się kompromisu z opozycją itd. Wręcz klasykiem tej idei jest profesor Gulczyński.

— Nowy socjalizm z ludzką twarzą?

— No, coś w tym duchu. Coś z ducha encykliki papieskiej „Laborem exercens”, która przecież również pyta o to, jaki rozwój, jak go zhumanizować?

Trzecia opcja traktuje obecny stan rzeczy w kategoriach faz ustroju. Ujmuję to tak: był wielki kryzys kapitalizmu lat 1929—1933, obecnie mamy do czynienia z podobnym kryzysem komunizmu. Wyłoni się z niego nowa faza rozwojowa. Nie można jednak, w oparciu o teoretyczne rozważania, przesądzać, jaka ta faza będzie. Można jedynie ujawniać, co dzieje się nowego. To jest sposób rozumowania oparty na koncepcji „rewolucji wewnątrz rewolucji” a więc na koncepcji Gorbaczowa. Jedną z moich książek — „Polskie przesilenie” — jest dokładnie w tej orientacji napisana. Także to, co pisze Tadeusz Kowalik z podziemnej PPS, zbliżone jest do tych poglądów. One są w istocie odbiciem pewnej logiki rozwoju formacji. Przez analogię do kapitalizmu: kapitalizm wolnokonkurencyjny — wielki kryzys — faszizm i New Deal (Nowy Ład), jako dwie odmiennie reakcje — wojna — zwycięstwo New

— On akurat nie ma w Polsce zbyt wielu zwolenników. Eurokomuniści uważają, że główną przesłanką budowania socjalizmu jest osiągnięcie odpowiedniego poziomu rozwoju sił wytwórczych. Jakiego mianowicie? Takiego, jaki wyłania się dzisiaj z rewolucji naukowo-technicznej. Jak mówi Adam Schaff — z potrójnej rewolucji naukowo-technicznej (elektronika, mikrobiologia i energia atomowa). Rewolucja mikroprocesorowa powodująca, że proces pracy bezpośrednio produkcyjnej staje się par excellence procesem technicznym, zrobotyzowanym i zautomatyzowanym. Traci sens kategoria robotników, w jakimś sensie traci również sens kategoria kapitału. A zatem konflikt: praca — kapitał przestaje być podstawowym konfliktem. Z drugiej strony, rewolucja biologiczna — dająca możliwość likwidacji wielu chorób dotąd nieuleczalnych, chorób psychicznych, wrodzonych; możliwość genetycznej ingerencji w człowieka, ale równocześnie stwarzająca groźbę produkowania (przy współudziale techniki) ludzi posłusznych, ludzi-niewolników. Stwarza to, jak gdyby, przesłanki zupełnie nowego konfliktu. I Schaff uważa, że nowy konflikt przeniesie się na płaszczyznę: człowiek — technika i jej dysponenci. Wobec naszego miernego poziomu rozwoju technicznego, te problemy nikią przy innych, znacznie bliższych polskim realiom. Stąd nie wymieniłem tej opcji wśród pięciu zasadniczych.

— A pan, panie docencie — jak pan postrzega naszą przyszłość polityczną, uwzględniając własne spostrzeżenia z uczestnictwa w „okrągłym stole”? Jaki jest pański horoskop na najbliższe lata?

— Ja patrzę na „okrągły stół” nie poprzez to, jakim on się doraznym sukcesem zakończy, tylko na ile zapoczątkuje proces narodzin nowego społeczeństwa. A tu, niestety, muszę wyrazić pewien pesymizm, dlatego że taki proces wymaga przewartościowania pokoleniowego punktu widzenia, generacyjnej świadomości. Mówiliśmy o tym na początku. Uważam, że zbyt duży jest udział w dyskusji ludzi mojego pokolenia. Może to nie byłaby sama w sobie wada, gdyby nie nieobecność tam filozofii młodego pokolenia. I mnie nie chodzi o to, żeby młodzi zasiedli w komplecie przy „okrągłym stole”, ale żeby ich optyka zdominowała obrady. Nie, nie mogę powiedzieć, że jestem tutaj optymistą.

Poza tym niepokoi mnie zepchnięcie problematyki młodzieży na jeden „podstolik”. Powiedzmy to jeszcze raz wyraźnie — to nie jest żaden podstolik, tylko większość narodu, w dodatku lepsza większość, wyżej wykształcona. Kwestia, czy te rozwiązania, powstałe przy stole obrad, stworzą możliwość aktywności, artykułowania problemów młodego pokolenia, jest zasadnicza dla historycznego znaczenia warszawskich rozmów. Czy uda się odblokować tę większość polskiego społeczeństwa — rzutkich, młodych ludzi, stanowiących główny potencjał narodu? Idzie o to, żeby nie kręciły się wokół nich ani solidarnościowe, ani partyjne ciotki i wujkowie, pouczający, jak należy skrecać — w lewo czy w prawo. O moim pokoleniu mówię się często: nasz wuj. Mam na myśli to, żeby wujowie przestali głądzić i zagadywać młodych, uznając swoje racje za jedynie słuszne, a zaczęli wsłuchiwać się tak naprawdę w to, co istotnego mówią i czym żyją dwudziesto- i trzydziestolatkowie. Jeśli by to umknęło naszej uwadze, to sądzę, że wcześniej czy później staniemy znów przed koniecznością szukania kolejnych rozwiązań i nowych stołów.

Byłoby fatalne w skutkach, gdyby dorobek „okrągłego stołu” został zdeprecjonowany. Jest on niewątpliwie, zwłaszcza w odniesieniu do budowy infrastruktury społecznej, konstrukcyjnego paktu antykryzysowego i zwłaszcza — otwarcia na nowy sposób myślenia o kraju, o naszym życiu i przyszłości. Stworzenie pewnego nowoczesnego, politycznego „image”. Te trzy kwestie są, moim zdaniem, przesądzone. Natomiast nie jest pewną ta generalna, historyczna sprawa, bo ta zależy od tego, czy „wapniaki” zdadzą sobie sprawę, że nie wapno decyduje o przyszłości Polski.

— Oby miał pan rację. Z tego, że nie krew — chyba zdaliśmy sobie już sprawę wszyscy. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Leszek Wiśniewski

— A eurokomunizm?

„DOBRA DIAGNOZĘ MOŻNA BYŁO OTRZYMAĆ DOPIERO W PONIEDZIAŁEK”

ŻYWIOT JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO (7)

Józef Zięba

SKORZYSTAŁEM z pobytu w Lublinie p. inż. Jadwigi Ostrowskiej i przeprowadziłem z nią 9 sierpnia 1988 roku, utrwaloną na taśmie magnetofonowej, a obecnie przechowywaną w zbiorach Muzeum im. J. Czechowicza, długą i interesującą o pocie rozmowę.

Rozmowa ta bardzo przybliżyła mi postać Józefa Łobodowskiego i dała poznać życie środowiska emigracji polskiej w Madrycie. Wydaje mi się, że i czytelników powinna zainteresować; przytaczam ją w skrócie.

— Kiedy i w jakich okolicznościach poznała pani Łobodowskiego?

— Łobodowski był w Hiszpanii już od dawna. Ja przyjechałam dopiero w 1963 roku, w czerwcu. Początkowo nie wiedziałam, czy w Madrycie są jacyś Polacy, ale pomyślałam sobie, że Polacy są wszędzie, więc i w Madrycie na pewno też są. Kiedy dowiedziałam się, że w pierwsze niedziele miesiąca są mase polskie, poszłam na taką mszę. Było tam około dwudziestu, może trzydziestu osób. Jest tam taki zwyczaj, że zatrzymują się wszyscy po mszy na rozmowę. Więc poznałam Józefa Łobodowskiego, jak i pozostałych Polaków, pod kościołem.

— Łobodowski chodził do kościoła?

— Chodził, oczywiście, chodził... Wówczas przewodnikiem emigrantów polskich w Madrycie był Stanisław Rylski, który już nie żyje. On wszystkich jednoczył. Był to człowiek nadzwyczajnej dobroci i bardzo towarzyski. Przybył do Madrytu po zdembilowaniu z armii Andersa i rozpoczął studia. Było ich tam około stu osób i stąd ta grupa emigracyjna pochodzi. Z wyjątkiem Łobodowskiego, który trafił inną drogą.

— Z Francji.

— Został w Hiszpanii aresztowany i półtora roku przebywał w więzieniu.

— A pan Stanisław Rylski kim był z zawodu?

— Buchalterem i pracował w radio. Współpracował z rozgłośnią madyrycką?

— Tak. Współpracowali z madyrycką rozgłośnią i on, i Kazimierz Tytko, i Józef Łobodowski. Ja nie słyszałam nigdy tych audycji. Dowiedziałam się o ich nadawaniu dopiero w Madrycie...

Pod kościołem powiadomiono mnie, że spotykają się w jakimś „Obelisku”, w restauracji „Obelisko” w piątki. Mnie to bardzo zainteresowało. Okazało się, że mieszkam niedaleko od tego „Obeliska”, więc poszłam tam kiedyś. Rzeczywiście, byli tam wszyscy, których poznałam przed kościołem. Siedzieli przy długim stole zawsze tym samym, który był już dla nich przygotowany. To była średniej klasy restauracyjka, długo otwarta i tam się coś zjadało, dużo pili wina i długo gadało. Rej wodził Lobo, tak go tam wszyscy nazywali. Lobo przewodniczył, a Staś Rylski wszystko organizował.

— Ile osób skupiało się przy stole?

— Niedużo. Jakichś osiem, dziesięć, kilkanaście, zależy, kto miał czas. Wiadomo było, że tam można po polsku porozmawiać. Ja chodziłam tam regularnie w każdy piątek. Między ósmą a dziewiątą wieczorem wszyscy się schodzili. To były bardzo przyjemne spotkania. Łobodowski żywo w nich uczestniczył. Bardzo często zabierał głos, a że miał głos silny, zagłuszał wszystkich. Jego się tam przede wszystkim słyszało, a on lubił, by go słuchano.

To trwało do śmierci Stanisława Rylskiego, nie, trwało dłużej, do śmierci właściciela restauracji. Potem jego syn zdecydował, że nie warto otwierać jej wieczorami, bo prawie wyłącznie myśm tam byli jako późni goście.

— Czy Łobodowski miał jakieś ulubione kafejki, bary, w których stał przebywał?

— Tak, bar był miejscem jego pracy. Tam przebywał przez cały dzień. Bar znajdował się w pobliżu domu, w którym mieszkała rodzina Tytków. Nie było dnia, żeby u nich nie był. Trzymał do chrztu ich najstarszego syna. Żona pana Kazimierza, Hiszpan-

ka, miała bardzo dobre serce i opiekowała się nim. Im zawdzięcza bardzo wiele. Łobodowski był czasem trudny, ale pani Tytko z anielską cierpliwością troszczyła się o jego ubranie, czy stała bielizną. Otaczała go opieką domową, rodzinną. Łobodowski mieszkał zawsze w jakimś pensjonacie.

— Czy własnego domu Łobodowski nie próbował zorganizować?

— Nie, nigdy nie miał własnego domu. Jego domem był dom państwa Tytków, a pracował cały dzień w barze. O piątej przychodził Rylski i czasami przynosili się z baru do restauracji, gdzie jedli kolację. Przychodził czasem do nich doktor Sokółowski i wspólnie spędzali przyjemne wieczory.

Kiedy przeniosłam się i zadomowiłam w nowym mieszkaniu, skończył się właśnie „Obelisk”. Zaproponowałam żeby Stasio Rylski i Józef Łobodowski przychodzili do mnie.

— W którym to było roku?

— Około dziesięć lat temu.

— I też tylko raz w tygodniu?

— Raz w tygodniu, w środę. Przychodzili do mnie zawsze we dwóch, czasem ktoś jeszcze. Siedzieliśmy na tarasie, bo ja mam duży taras, na którym latem w ciągu dnia jest zbyt gorąco, ale bardzo przyjemnie wieczorem — i wiele wieczorów tam wspólnie spędziliśmy.

— Czy samotnictwo Łobodowskiego było programowe? Czy nie usiłował założyć rodziny?

— On przecież miał żonę.

— Jak pani sądzi, czy twórczość literacka wypełniała całkowicie życie Łobodowskiego?

— Myślę, że tak. Bardzo dużo pisał i dużo serca to wkładał. Felietony wysyłał do Londynu, najpierw do „Wiedomości”, a gdy „Wiedomości” zostały zlikwidowane, to do „Dziennika Polskiego”. Z tym brulionem, który panu przywoziłam, siedział i pisał. Zawsze przy tym samym stoliku. Tam był hałas. Dziwiłam się, jak się można skupić w takim zgłębku, ale jemu to odpowiadało.

— Pisał w barze, bo w małym pokoiku hotelowym nie miał chyba warunków do pracy literackiej. Na zdjęciu, które mi pani przywiozła, widać, że nie było tam nawet porządnego stołu.

— Ja tam nigdy nie byłam. Zmieniłam pensjonaty, to może kiedyś miał lepsze warunki. Ten ostatni nie był najlepszy.

— Z czego się utrzymywał?

— To była sprawa bardzo przykra, bo stać nie miał pieniędzy. Otrzymywał małą pensyjkę z radia, której już mu po zamknięciu polskiej rozgłośni nie musieli płacić, ale utrzymywali to w formie zapomogi. Ponieważ Łobodowski nie był obywatelem hiszpańskim nie miał wielkich praw. Gdyby chciał zdobyć obywatelstwo, miałby lepsze warunki. On jednak powiedział, że tego nigdy nie robi.

— Czy miał jeszcze jakieś honoraria?

— Otrzymywał honoraria za felietony z „Dziennika Polskiego”, ale przychodziły bardzo nieregularnie. Jako stały adres podawał dom Tytków. Otrzymywał czasem jeszcze honoraria za wieczory autorskie, kiedy wyjeżdżał do Londynu albo do Stanów Zjednoczonych. To jednak bardzo szybko się rozpyływało i on nigdy pieniędzy nie miał.

— Leżało chyba w naturze Łobodowskiego, że nie szanował pieniędzy?

— Dużych wydatków nie robił, ale lubił komuś zaufundować taksówkę, zaprosić na wino.

— O Łobodowskim krążyły legendy jako o człowieku nie stroniącym od alkoholu. Sam słyszałam taką opowieść, nie wiem, czy nie wymyśloną. Podobno w Paryżu po wiekzym alkoholu Łobodowski miał wieczór autorski na drzewie. Wszedł na drzewo i tam recytował swoje wiersze. Policjanci ścignęli go do komisariatu, a nad ranem cały komisariat pod jego przewodnictwem śpiewał. Oczywiście jest to anegdota, ale chciałem zapytać, ja-

ki był stosunek Łobodowskiego do alkoholu?

— Nie był nałogowym alkoholikiem, ale lubił wino bardzo.

— A silniejsze trunki?

— Nie, tylko wino. Gdy pisał w barze, to na marmurowym stole stała zawsze przed nim szklanka wina; gdy się wino kończyło, to mu dolewali.

— A stosunek do kręgu znajomych? Pani mówiła, że nie był łatwym człowiekiem. Ktoś nawet napisał do mnie, że nie lubił Łobodowskiego, bo jego zachowanie było czasem chamskie.

— Nie powiem, żeby było chamskie, ale był raptus. Tam w tym „Obelisku” dochodziło kilka razy do scysji, bo on nie znosił, gdy ktoś miał inne zdanie. Pokłócili się kiedyś o generała Andersa, którego on bardzo ceniał.

— Rozmowy w „Obelisku” czego dotyczyły? Czy spraw Polski, literatury, czy miały charakter towarzyski?

— Tam było wszystko. Opowiadało się o wszystkim. Każdy przynosił to, co miał ciekawego, począwszy od anegdot przywiezionych z Polski. Czasem też były smutne sprawy.

— Sprawy polskie były zatem w centrum zainteresowania?

— Tak. Gdy Polacy przychodzili z hiszpańskimi żonami, to one miały za złe, że nie rozumieją. Przechodziliśmy więc na hiszpański, a po pięciu minutach zapomniało się i wszyscy znów mówili po polsku, a one biedne siedziały i nudziły się. Potem nie przychodziły tam w ogóle...

W czasie wakacji, kiedy Tytkowie wyjeżdżali nad Morze Śródziemne, to w wynajętym przez siebie mieszkaniu jeden pokój odstępował Łobodowskiemu. Tam też pisał wiersze...

Kiedy przychodzili do mnie, to robiłam im polskie potrawy, chłodniki i coś takiego, co im smakowało. On najbardziej lubił pomidorową zupę z ryżem, więc często mu ją robiłam, poza tym lubił wszystkie kluski.

— Czy w inne dni utrzymywała pani kontakty z Łobodowskim?

— Chodziłam tam, gdzie wiedziałam, że ich spotkam do jednej czy drugiej restauracyjki, gdzie jadali kolacje. Kiedy Stasio Rylski zachorował na serce i zmarł, to zostaliśmy już tylko oboje. Prosiłam, by przychodził w dalszym ciągu do mnie. Wiedziałam, że często nie wcześniej nie jadł, tylko to, co u mnie. Normalnie chodził na posiłki do małej chińskiej restauracji, gdzie mu dawano zawsze to samo, jakąś potrawę z kluseczkami, która mu smakowała.

— A stosunek do kraju?

— Bardzo się interesował wszystkim, co się dzieje w Polsce. Czytał dokładnie „Kulturę” paryską, którą prenumerował, często „Tygodnik Powszechny” i „Przekrój”.

— Czy były jeszcze jakieś inne spotkania?

— Tak. Ksiądz Walorek zapraszał jeszcze do swego mieszkania w czwartki, co drugi czwartek.

— Czy miały one charakter literacki?

— Dotyczyły głównie spraw religij i wiary, ale w szerokim aspekcie społecznym i filozoficznym. Czasem pojawiały się tematy literackie i sprawy polskie. Lobo, jak zwykle, często zabierał głos, bo dużo miał do powiedzenia. Zwykle wypowiedź kończył jakąś dykteryjką.

Ostatnie zebranie było siódmego kwietnia. Nic wtedy nie zapowiadało, że Łobodowski zachoruje. Wprawdzie od pewnego czasu wyglądał mizernie, mówił, że źle się czuje. Pytałam, czy coś go boli. Mówił, że jakoś trudno mu chodzić. Tego dnia przyjechaliśmy razem taksówką. Zawsze braliśmy wspólnie taksówkę, bo to taniej, a mieszkaliśmy blisko siebie. Bardzo przyjemnie bawiliśmy się tego wieczoru. Potem wróciłam z nim do domu. Ja wysiadłam wcześniej przy swoim domu, a on jeszcze jechał jeden blok dalej. Rozstaliśmy się jak zawsze i nie zdradzało, że następnego dnia będzie miał dużą gorączkę. Ledwie się dowiedział o tego baru, gdzie zawsze siedział. Przyszedł tam już bardzo słaby, ledwo szedł. Właściciele baru, którzy się już z nim bardzo zaprzyjaźnili, zatelefono-

wali zaraz do mieszkania Tytków. Pana Kazimierza nie było w domu, bo był w biurze. Jego żona przybiegła zaraz z synem i zobaczyła, że on już prawie omdlewa. Niemal przemocą zabrali go taksówką do szpitala. Nie chciał jechać. Wzbraniał się. Jakoś mu wreszcie wyperswadowała, że musi jechać. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności był to piątek, potem sobota i niedziela. We wszystkich szpitalach na całym świecie, w całej Eu-

ropie przynajmniej, nikt nie w tych dniach w szpitalu nie robi. Wszyscy doktorzy znikają. Dobrą diagnozę można było otrzymać dopiero w poniedziałek. Przeprowadzono analizy. Okazało się, że nerki były bardzo zmniejszone. Początkowo się wydawało, że to wszystko od nerek pochodzi, ale potem wywiązało się zapalenie płuc. Dali mu jakieś antybiotyki i zrobiło się trochę lepiej. Wstąpiła w nas otucha. Już parę razy był ciężko chory i jakoś się z tego wygrzebywał. Miał silną naturę, która przezwyciężała choroby. Tym razem już się to nie udało. Po paru dniach udać było, że jest to sytuacja beznadziejna. Wezwaliśmy do szpitala księdza Walorka, który z nim rozmawiał z pół godziny. Potem go wypowiadał. Następnego dnia Łobodowski przyjął komunię świętą. Ksiądz udzielił mu ostatniego namaszczenia. Lobo jeszcze był wtedy przytomny.

— Jak pani sądzi, czy samotność dokuczala Łobodowskiemu?

— Nie robił wrażenia, żeby się czuł samotny. Trzymał się zawsze tej samej dzielnicy, w pobliżu domu Tytków. Bar też jest w sąsiedztwie. Codziennie chodził do nich po własną pocztę. Wieczorem pan Kazimierz często przychodził do niego do baru. Popijali razem wino i komentowali aktualne wydarzenia.

— Czy Łobodowski nie miał zamiaru przenieść się do Paryża albo do Londynu?

— Często tam jeździł, ale przenieść się tam to nie, bo był bardzo związany z tą rodziną.

— Czyli związek z rodziną Tytków decydował, że Łobodowski pozostawał w Madrycie?

— Mam wrażenie, że tak.

— Czy mogłaby pani jakoś ogólnie scharakteryzować Łobodowskiego?

— Podziwiałam go za jego ogromne zdolności, talent, za jego pamięć nadwyzyczną. Jeśli nie pamiętało się jakiegos wydarzenia historycznego, to tylko do niego trzeba było iść. Był jak encyklopedia. Poza tym lubiłam go i uznawałam. Akceptowałam jego trudny charakter.

— Na czym polegała ta trudność charakteru?

— Nie lubił, kiedy ktoś miał inne zdanie. Był czasem gwałtowny. Ostрым językiem potrafił przyciąć. Ujawniało się to nawet na zebraniach u księdza. Były tam takie osoby, które na pewno lubił, ale ostrzył sobie na nich język.

— To tak, jak w jego publicystyce?

— Publicystyka była głównym źródłem utrzymania. Wydał czasem jakąś książkę, ale trudno było z tego wyżyć. Dopiero pod koniec jego życia utworzył się w Londynie fundusz, który umożliwiał wydawanie jego książek. Dzięki temu sytuacja materialna może być inaczej ułożona.

— Wróćmy jeszcze do ostatnich chwil poety. Czy miał jakieś życzenia? Czy mówił, by pochować jego prochy w Lublinie?

— O tym mówił wcześniej przy różnych okazjach.

— Czy Lublin wspominał często?

— Tak, bardzo często. Opowiadał, jak się kochał w pięknych Żydowskich, jak dawał korepetycje w gimnazjum żeńskim.

— Dużo, może nawet za dużo jest tych romansów w cyklu powieściowym „Żywot Józefa Zakrzewskiego”. Jak Łobodowski oceniał swą twórczość prozatorską?

— Mało było o tym mowy. Myślał, że on się wyżywał przede wszystkim w poezji, nie w prozie.

— Chciałem jeszcze zapytać o to ostatnie mieszkanie Łobodowskiego. Na zdjęciu widać, że był to bardzo mały, skromny pokój. Jakieś rękopisy i korespondencję chyba tam przechowywał? Czy zrobiono protokół z likwidacji tego mieszkania?

— Tam nie było żadnych cennych rękopisów.

— A to on ze swoimi rękopisami robił? Niszczył je?

— Część rękopisów zabrał jego wydawca do Paryża. Nie wiem, może Łobodowski zniszczył inne rękopisy. Nie lubił ich przechowywać.

— A korespondencja?

— Przenosił się kilka razy i na pewno przy tej okazji niszczył. Przenosił się, bo miał długi w pensjonacie i musiał miejsce zmieniać. Ostatnio myśm się składał, żeby przynajmniej pensjonat był zapłacony, żeby nie wisiało nad jego głową, że musy wyprowadzać się natychmiast. Książek też nie gromadził, a te, które się zebrały, w czasie przeprowadzki pozostawiał u swoich znajomych. U mnie w piwnicy też są jakieś kartony z jego książkami...

(cdn.)

„CHCEMY DOJŚĆ PRAWDY, KTO ZAWINIŁ”

WSTRZĄS

Izabella Wlazłowska

RATUJ mnie pani, bo nieszczęście wielkie na mnie spadło... Stara kobieta płacze. Rozdygotane słonie przyciska do oczu. Wyrzuca z siebie żale, których nikt przede mną słuchać nie chciał, bo jakaż prawda wynika z jej chaotycznej opowieści? Ciężka chłopska praca miesza się więc z dźwiękami skrzypiec, na których tak pięknie mąż wygrywał, że aż go za granicę wysyłali. Potworny ból od rąk spadających na głowę i plecy, zadawanych przez rabusiów, sąsiadów zresztą, którzy ostatni grosz od nich wydrzeć chcieli, miesza się z bólem serca, które na słowo „milicja” wzbiera świętym oburzeniem. Zachowany paszport zmarłego męża, w którym starannie poukładane żółknięte kawałki papieru zaświadczać mają o uczciwym życiu, leży tuż obok białej kartki papieru z datą 23 sierpnia 1988 roku:

„Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie w odpowiedzi na skargę informuje, że funkcjonariusz MO istotnie dopuścił się nierozważnej i nietaktownej wypowiedzi dotyczącej obywatelki. Przepraszamy i zawiadamiamy, że wobec winnego wyciągnięte zostały wnioski służbowe”.

— Tego milicjanta też na mnie nastał, ale mnie Lublin za niego przeprosił — uzala się kobieta.

Zanim pojechałam do Poniatowej Wsi, udałam się do Sądu Rejonowego w Opolu Lubelskim, przed którym odbywała się rozprawa karna przeciwko 74-letniej Helenie W.

Oskarżyciel prywatny, 51-letni Lucjan W., jej sąsiad, oskarżał ją z art. 181 § 1 kk, czyli o znieważenie publiczne. Jego świadkami w tej sprawie byli dwaj funkcjonariusze MO z Poniatowej; Janusz J. i Andrzej C. I może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że nazwiska tych funkcjonariuszy przewinęły mi się jeszcze kilkakrotnie w sprawach innych mieszkańców Poniatowej Wsi.

Rozprawa przed sądem była ciężka zarówno dla sądu, jak i tych, którzy jej się przysłuchiwali. Oskarżona jakby nie zdawała sobie sprawy z miejsca, w którym się znajduje. Bezustannie przedstawiała swoje racje, jakby jej podniesiony, chrapliwy głos mógł udowodnić prawdę dla niej oczywistą. Krzywdę, której znieść nie mogła. I bezsilność.

Widziałam ją przed salą rozpraw. Rozdygotana, trzęsąca się, znieważona samą obecnością w tym gmachu. Czy to ją usprawiedliwiło?

Z akt sprawy:

Lucjan W.: „27 kwietnia 88 r. stwierdziłem, że Helena W. zdziałała motyką moją zasianą pszenicę na długości ok. 40 m i szerokości 0,5 m. Zawiadomiłem posterunek MO”.

Helena W.: „Konflikt zaczął się od tego, że w 1970 roku zostaliśmy z mężem napadnięci przez K. Oskarżyciel prywatny był wtedy świadkiem po stronie oskarżonych... A wtedy, 27 kwietnia przywiózł kamienie i rzucił na drogę. Ludzie jeździli więc po polu syna... W tym dniu w ogóle oskarżyciela prywatnego nie widziałam”.

Janusz J., funkcjonariusz MO: „Lucjan W. prosił nas, byśmy pojechali na interwencję, bo oskarżona niszczy mu miedzę. Funkcjonariusz C. wyszedł do oskarżonej. Ja i Lucjan W. siedzieliśmy w radiowozie. Oskarżona wyzywała od skurwysynów i złodziei...”

Andrzej C., funkcjonariusz MO: „Widać było, że pszenica jest skopana. Oskarżona zbierała kamienie. Powiedziała: »ten skurwysyn wczoraj jeździł po mojej drodze“.

Soltys: „Zaświadczam, że Helena W. nie skopała pszenicy u Lucjana W. Pszenica jest zasiana na polu i rośnie”.

Walerian W.: „Ja nie widziałem żadnej szkody, tzn. nie było śladów działania motyka”.

Sąd Rejonowy w Opolu Lubelskim wydał wyrok skazujący Helenę W. na 6 miesięcy pozbawienia wolności z zawieszeniem wykonania kary na 2 lata i 20 tys. zł na rzecz PCK. Wyrok nie jest prawomocny.



Fot. Waldemar Stępień

Stoję na drodze, która doprowadziła Helenę W. do sądu.

— Sama pani widzi, że Lucjan W. worał się w państwową drogę — pokazuje mi krzywą polną syna Heleny W. — więc ludzie wjeżdżali ciągnikami w moje pole, bo inaczej się nie mieścili. Tamtego dnia usunęliśmy tylko z matką kamienie z drogi, które Lucjan W. tu nawiózł. Niech pani sama powie, czy możliwe jest, aby stara kobieta zdziałała mu na tym polu pszenicę motyką na długości 40 m i szerokości 0,5 m?

Nie opodał na polu pracuje Lucjan W.

— Podobno Helena W. narobiła panu szkody w pszenicy? Dlaczego razem z funkcjonariuszami MO nie poszedł pan do niej porozmawiać, tylko siedział w radiowozie? — pytam.

— Milicjant z nią rozmawiał — skwitował krótko Lucjan W.

— Milicję na mnie nastał, bo stałe się u niego goszczą — denerwuje się Helena W. — ale kiedy jego zięć wypadek spowodował, to ani się o milicję było doprosić.

Stanisław B. ma dwadzieścia kilka lat i przez pół roku miał nogę w gipsie. 18

kwietnia 1988 roku uczestniczył w wypadku drogowym, w którym został poszkodowany.

— Jechałem motorem od sąsiada — mówi Stanisław B. — Zauważyłem przed sobą dwa ciągniki. Wyprzedziłem „Cyklopa”, a kiedy dojechałem do tego, który stał po lewej stronie na poboczu, ten nagle zjechał mi drogę. Kierowcą był Grzegorz P. zięć Lucjana W. a „Cyklopa” prowadził jego syn. Proszę przejrzeć akta tej sprawy, a sama pani zobaczy, jak prowadzone było dochodzenie.

W aktach jest najpierw szczegółowy opis miejsca wypadku dwóch pojazdów. Są też zeznania syna i zięcia Lucjana W.

Zbigniew W.: „Szwagier zjechał na lewą stronę jezdni, aby mieć lepszy skręt w prawo. Ja zrobiłem to samo... Zauważyłem, że po prawej stronie wyprzedza mnie motocyklista, który jechał z dużą prędkością... Widziałem, że motocyklista hamuje, zaczęło motor nosić i kierujący wraz z motocyklem uderzył w tył rozrzutnika... Zjechałem jego ciągnikiem na podwórko, gdyż nie wiedziałem, że pojazd musi zostać na miejscu wypadku. Po tym fakcie udaliśmy się do domu ojca, a około godziny 20-tej razem pojechaliśmy pole orać”.

Świadek wypadku Stanisław D.: „Stanisław B. leżał po lewej stronie drogi w jego kierunku jazdy. Przed nim stał ciągnik z rozrzutnikiem. Stał tak, że był poza osią jezdni. Stał na środku. Rozrzutnik usytuowany był na jezdni w ten sposób, że po lewej stronie praktycznie nie było miejsca na wyprzedzanie. Po chwili ciągnik z rozrzutnikiem zjechał na podwórko”.

Są jeszcze w aktach sprawy wyrysy drogi jazdy motocykla, sporządzone tylko na podstawie wyjaśnień Grzegorza P. i Zbigniewa W.

Nie ma wyjaśnień poszkodowanego w wypadku. Jest za to wynik (zerowy) z pobranej do badania jego krwi. Pozostałym dwóm kierowcom krwi w ogóle nie pobrano.

13 maja 88 r. funkcjonariusz MO Andrzej C. sporządził postanowienie o wszczęciu dochodzenia. W miesiąc później zwrócił się do Prokuratora Rejonowego o przedłużenie czasu trwania dochodzenia, ponieważ „w prowadzonym dochodzeniu należy wykonać jeszcze szereg czynności w celu wszechstronnego wyjaśnienia sprawy”.

Czynnościami tymi było zapewne przesłuchanie poszkodowanego Stanisława B. Odbyło się to równo w dwa miesiące od wypadku.

Jest jeszcze w aktach sprawy bardzo interesujące uzasadnienie prokuratora o umorzeniu dochodzenia w sprawie wypadku drogowego w dn. 18.04.1988 r.:

„W prowadzonym dochodzeniu wykonane szereg czynności procesowych i pozaprocesowych (tych chyba znacznie więcej — przyp. IW), zmierzających do wszechstronnego wyjaśnienia przyczyn i okoliczności zaistniałego wypadku, gdyż jak wynika z zeznań poszkodowanego, to kierujący ciągnikiem Grzegorz P. zjechał mu drogę w chwili, gdy ten chciał go wyprzedzić. Z zebranych w toku dochodzenia materiałów nie wynika, aby Grzegorz P. popełnił przestępstwo z art. 145 § 1 kk, w związku z czym nie ma podstaw do przedstawienia zarzutu Grzegorzowi P. z uwagi na brak cech popełnienia przestępstwa”.

— Na szczęście ja żyję i wiem, jak doszło do wypadku — mówi Stanisław B. — Nie jestem trupem jak Marian W., którego rodzina daremnie usiłuje dojść sprawiedliwości, bo ma podejrzenia, że został on zamordowany.

W Prokuraturze Rejonowej w Opolu Lubelskim znajduje się opasła teczka z aktami w sprawie śmierci Mariana W. A oto jak doszło do tego, że po ośmiu miesiącach rodzina Mariana W. miała go obejrzeć w trumnie po raz wtóry.

Mówi syn Mariana W.: — 8 marca ubiegłego roku, około godziny 10 rano, ojciec wyszedł do są-

siada Józefa K. Koło 12-tej przyleciał do nas K. i powiedział, że ojciec przewrócił się, bo chyba jest pijany. Brat pojechał po niego. Ojciec leżał u K. na łóżku i nie chciał wstać. No to brat wrócił z powrotem do domu. Wieczorem przyszła mama z dyżuru. Brat opowiedział o zdarzeniu. Matka machnęła ręką: „wyspi się, to wróci do domu”. Ale do rana ojciec nie wrócił. Matka pobiegła do K. Ojciec leżał na łóżku nieprzytomny. Wezwano pogotowie, które zawiozło go do szpitala w Poniatowej. Lekarz stwierdził stłuczenie mózgu i pnia mózgu oraz krwiaka. Zrobiono ojcu operację. Nie odzyskałszy przytomności zmarł 16 marca.

Rozmawiam z lekarzem, który 7 marca miał dyżur w szpitalu w Poniatowej.

— Kiedy stwierdziłem potłuczenie głowy, poprosiłem pracownicę o powiadomienie milicji. Zadzwońnię ona do posterunku MO w Poniatowej. Niestety, nie zapisała nazwiska milicjanta, który odebrał telefon.

Udałam się do posterunku MO w Poniatowej. Komendant stwierdził, że nie będzie ze mną rozmawiał na temat pracy podległych mu funkcjonariuszy, nie będzie też sprawdzał dokumentów, bowiem jest to tajemnica służbowa. Od udzielania informacji prasie — stwierdził — jest rzecznik prasowy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Lublinie.

Pani rzecznik prasowy WUSW, którą odwiedziłam dwukrotnie, sprawdziła w dokumentach posterunku MO w Poniatowej, że osoba, która odebrała pierwszy telefon ze szpitala, nie mógł być funkcjonariusz Janusz J., jak sugeruje rodzina, bowiem w tym czasie był na urlopie. Posterunek MO przyjął tylko jedno zgłoszenie ze szpitala o śmierci Mariana W. w dniu 16 marca 1988 r. na co ma sporządzoną stosowną notatkę służbową.

We wsi ludzie mówią:

— Są tacy, którzy widzieli, że Marian W. został pobity, ale boją się cokolwiek mówić, bo Józef K., u którego znaleziono nieprzytomnego Mariana W., jest spokrewniony z funkcjonariuszem Januszem J. Józef K. jest ponadto rodzonym bratem tego, który wraz z synem napadł w 1970 roku na Helenę W. i jej męża i pobił ich dotkliwie.

— Pani, oni tak zamotali sprawę, że nawet sekcji zwłok nie zrobiono.

Już po pogrzebie rodzina Mariana W., która nabrała podejrzeń, że może rzeczywicie Marianowi W. ktoś dopomógł umrzeć, zaczęła domagać się przeprowadzenia w tej sprawie dochodzenia. Ale szło ono jak po grudzie. Ponieważ nie wykonano sekcji zwłok, do Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie wysłany został opis choroby Mariana W. Nie dołączono do niego nawet zdjęć rentgenowskich z urazami głowy, które mogłyby ułatwić wydanie opinii, czy Marian W. podczas upadku mógł sobie sam w ten sposób uszkodzić czaszkę.

Zakład Medycyny Sądowej 20 czerwca 88 r. wydał opinię, w której stwierdzono, że przedstawiony zakładowi materiał nie jest pełny i taka też, niepełna, może być opinia.

Dopiero 23 sierpnia 88 r. Prokuratura Rejonowa w Opolu Lubelskim wszczęła śledztwo w sprawie śmierci Mariana W.

Trzeba było sprawę zacząć od początku.

24 listopada dokonano ekshumacji zwłok Mariana W., które przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej w Lublinie.

Siedząca tego dnia w redakcji córka Mariana W., świadek ekshumacji zwłok, nie mogła powstrzymać łez.

— Rozpuszczane są teraz po wsi plotki, że to myśmy ojca zatlukli na śmierć. A milicja i prokuratura patrzy na nas jak na zło konieczne dlatego, że chcemy dojść prawdy; czy ojciec został zamordowany, czy nie. I chcemy dojść do prawdy, kto zawinił, że dopiero teraz prowadzone jest śledztwo. Kto zawinił, że rodzina nasza musiała przeżyć dzisiaj tak okropny wstrząs. Okropny wstrząs, proszę pani.

LUDZIE SIĘ DZIWIĄ, ŻE CIĄGLE JESZCZE CZEGOŚ CHCĘ...

TEMAT NA OPOWIADANIE

Ewa Czerwińska

W MAŁYM mieszkaniu Zinaidy Kary, w jednym z białskopodlaskich osiedli, jest tak, jak lubię: staroświecko. Ciemny kredens z filiżankami za szybą, owalny stół z lampą, wokół niego krzesła obite materiałem, wielki kaktus pod oknem. Za oknem — szara ściana bloku-bliźniaka. Pada śnieg. W taką pogodę miło jest siedzieć przy stole, z nogami owiniętymi w pled, popijać herbatę z porzeczkową konfiturą domowej roboty i słuchać. Opowiada Zinaida Kara.

— Niech pani mówi do mnie Zina — prosi na wstępie — ja tak nie lubię imienia Zinaida...

Rzeczywiście, Zina ładniej brzmi.

Opowieść I: DOM

Ziuniaaaa! woła matka, nie laź po drzewach! Ale Ziunia jest właśnie natchniona „Dzikuską” Zarzyckiej i nie słucha. Zdaje jej się, że jest aniołem, gdy siedzi tak wysoko, wśród konarów. Z wysokości starej wiśni można było zobaczyć, jak słońce ślizga się po blaszanym dachu domu, a potem skacze nad chotyłowskie pola. Ziunia, zła, nagli mama, ale Ziunia nie zła, bo musi jeszcze zobaczyć, jak słońce, ta wielka promienista piłka, przekoziółkuje znad pól prosto w strzechę sąsiedzkiej stodoly. Zejdzie z drzewa dopiero wtedy, gdy na ganku pojawi się ojciec. Wysoki, barczysty, w kol-jarskim uniformie. Podkręci sterujące wąsiki i powie z udawaną surowością: no co, Ziunka, znów łaziłaś po drzewach... Zina pamięta ten głos.

Pierwszy mąż matki umarł. Młoda wdowa została z synkami — Romkiem i Kostkiem. W dużym domu z blaszanym dachem łatwo pomieścić się lokator. Był nim Antoni Aleksandrowicz Nikoliszyn, dyżurny ruchu, oddelegowany z Rosji na stację w Chotyłowie. No i pokochali się. Toż to prawostawny i Rosjanin, gderała babka Wilbikowa, matka młodej wdowy, a ty Polka jesteście i katoliczka... Ale miłość była uparta i młodzi stanęli wkrótce pod weselnymi koronami, w cerkwi, w Piszczacu. Z tej miłości wzięła się Zina. Zaraz potem Antoni dostał powiestkę o służbowym przeniesieniu do Moskwy.

Czas nie sprzyjał grymasom, była wojna. Z Moskwy, jak przez mgłę, pamięta Zina nędzne mieszkanie w jakimś pierzeulku na peryferiach miasta.

ulicę wysadzaną kłocimi lbami i Taniej z sąsiedztwa, której, za psoty, matka wieszala na szyi welnianą pończochę. Z opowieści rodziców wie jeszcze, że dostała krzywicy, którą wyleczyła dopiero babka Maria, matka Antoniego. Zabrała ją do siebie, na Ukrainę i wygrzewała przez całe lato w gorącym piasku.

Nędza skończyła się w osiemnastym roku, tuż po wybuchu wielkiej rewolucji. Za Boga nie zostaną w Rosji, błagała Nikoliszyna męża, wracajmy. Uległ Antoni. Wrócili do domu. W bydlęcym wagonie, przez wiele dni, szczęśliwi. Powitał ich dom w Chotyłowie i wieść, że Polska będzie. Kostek czuł się. Zniknął gdzieś na całe dnie, wracał zgłodniały, ale szczęśliwy. Cichcem coś majstrował. Kiedyś się wydało: rozbierał pistolet. Matka domyśliła się, że Kostek po swojemu walczył o Polskę. Nie protestowała. Zaraz potem przyszła ta nieznana Polska.

Opowieść II: WILNO

W dwudziestym pierwszym zmarła cichutko babka Wilbikowa. Trumna stanęła na postumencie w największym, paradnym pokoju, w otoczeniu doniczek z pelargoniami. Nad trumną snuł się mdłący zapach kadzidła. Sąsiedki w czerni przez całą noc klepały pacierze za zmarłą. Zina jakoś nie mogła uwierzyć w tę śmierć.

W rok od śmierci babki poszła do szkoły powszechnej w Chotyłowie. Na dalsze nauki rodzice posłali ją do szkoły handlowej w Brześciu, miasteczku małej i zapyziałej, a potem do Instytutu Nauk Handlowo-Gospodarczych w Wilnie.

Wilno pełne było Mickiewicza. Bo to i główna ulica nazwana jego imieniem, i pomnik z drewnianych klepek nad samą Wilią, i uroczyste staromiejskie uliczki, którym wieszczę przecież chodził: Mostowa, Basztowa... zakamarszki romantyczne. A na górze — zamek Gedymina, miejsce spotkań młodzieży. Wesolo było na placu Łukiszki, tu, gdzie odbywały się coroczne kiermasze w dniu Kazimierza. Zina pamięta góry obwarzone smorągowskich i serca z napisem „kochaj mnie”, oblewane czekoladą.

Z miejsc, które obiegała razem z koleżankami, wciąż nie napatrzona tego cudnego Wilna, wrażenie robiła Brama Ostrobramska; z miejsc cichych — lubiła kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu, w którym, jak głosiła legenda, Chrystusowi na krzyżu miały odrastać włosy. I Rosę, Wzgórze Rossy, wileńskiego cmentarza, najpiękniej wyglądały w Zaduszki, świeciły, jakby ktoś pociął je tysiącem gwiazd. Cmentarz odwiedzała Zina wówczas, gdy mieszkała w internacie sióstr Urszulanek. O przełożonej, sióstrze Busiackiej, dziewczyny szeptały, że z powodu nieszczęśliwej miłości uciekła do zakonu. W internacie była pobożność i dyscyplina, co pannom marzącym o miłości nie bardzo się podobało. Wkrótce też Zina, wraz z Marysią z Grodna, serdeczną powierniczką największych sekretów, przeniosła się na stację. Panny gapiły się na wielki świat, zazdroszcząc mu eleganckich fildekosowych pończoch ze szwem, kapeluszy z piórkami i obcisłych sukien z dekolami, takich samych jak u aktorek w kinie. Zina chodziła wówczas w szkolnej czapce. Dopiero po odwiedzinach ojca mogła i ona poparadować w fildekosowych pończochach, z gazową chusteczką związaną kokieteryjnie na palcu przez najprzystojniejszego sprzedawcę w magazynie braci Jabłkowskich.

Pierwszy, nieprzytomny łyk Wilna nie wyszedł Zinie na dobre. Musiała repetować pierwszy rok. Wróciła skruszona, z solennym przyrzeczeniem poprawy. Odtąd zakochała się już tylko raz.

Tadeusza spotkała na balu w Ostrowi Mazowieckiej. Starszy brat, Romek, kończył tam właśnie szkołę oficerską. Na bal zaprosił ojca i Helę. Zina też uparła się, że pojedzie. Matka sprawiła dziewczętom po dwie suknie — jedną błękitną z żorżety, na bal, i drugą spacerową, z organdy.

W sali balowej z ogromnymi lustrami zebrał się absolwenci, każdy ubrany jak spod igielki, wyższa szarża oraz zaproszeni goście. Na początek orkiestra zagrała mazura. Gdy pary ustawiły się w szyki, do Ziny podszedł nie kto inny, tylko sam pułkownik, z zaproszeniem do tańca. Przestraszyła się trochę, bo przecież mazura tańczyć nie umiała. Pierwsze kroki wypadły nawet dość zgrabnie, ale jak

przyszło do figur, to kłapa. Więc Zina dała drapaka. Zawstydzona, kryjąc się za filarem, usłyszała: co pani taka smutna? Odwróciła się. Przed nią stał jakiś młody podporucznik. Tadeusz Kary jestem, przedstawił się. Potem, już w Wilnie, czekała na list. Nie przychodził, więc odważyła się napisać pierwsza. Jak dobrze było kochać się, mówi teraz Zina i sięga do kredensu po fotografie.

W życiu nie było tak słodko, jak na fotografiach. Na drodze do szczęścia stanął regulamin. Podporucznik, który zamierzał żenić się, musiał przedstawić w ministerstwie dokumenty zaświadczające, że jego wybranka to nie byle kto, tylko panna o wykształceniu co najmniej średnim i posagu pozwalającym mężowi na spokojne, na wysokim poziomie życie w oczekiwaniu na stopień porucznika. Zina miała ukończony Instytut, ale nie miała pieniędzy, więc termin ślubu oddalał się. Postanowili te pieniądze jakoś uciąć. Tadeusz — w Zambrowie, gdzie stacjonował jego pułk; Zina — w Chotyłowie.

Opowieść III: WOJNA

Na drodze do szczęścia, oprócz surowego regulaminu, stanęła także rywalka. Nauczycielka z zambrowskiego przedszkola. Przed wstydem porzucenia uciekła Zina do Warszawy. Schroniła się u kuzynki Nulki, niezamożnej krawcowej. Szukała pracy, starając się zagłuszyć w głowie natrętne pytanie: czy to Tadezik jeden na świecie? Codziennie przerzucała „Kurier Warszawski”, ale o posadę było trudno z powodu bezrobocia. Wreszcie znalazła miejsce w magazynie Łakomskiego „Porcelana, szkło, kryształy”.

U Łakomskiego było jak w bajce: mnóstwo wspaniałych wazonów, królewskie zastawy, sztuczne kwiaty tak piękne jak żywe. A jaka klientela... Nie było dnia, żeby Zina nie wybiegała ze swego kantorku, aby popatrzyć na Smosarską, Malicką, Zabczyńskiego.

W kilka miesięcy później odezwał się Tadeusz, listownie, z przeprosinami za rozczarowanie. Prosił o przyjazd. Nie chciała swojej miłości, odpisała mu, ja nie chcę twojej przyjaźni. Ale na spotkanie w kawiarni Pomianowskiego na Żoliborzu poszła. Ubrała się, na złość, tak jak nie lubił: w kapelusz z piórkami. Odwet ze strony Tadeusza był nie do przeżycia. Ten odwet to był złoty sygnet na palcu, prezent od przedszkolanki. Wkrótce jednak sprawa wyjaśniła się: ona nie lubiła tego kapelusza z piórkami, on sygnetu od rywalki. Ślub wzięli w Piszczacu, w kwietniu trzydziestego ósmego. Welon Zina miała długi, na pięć metrów, do ślubu jechali rolle-roycem kuzyna z Francji, a na wesele poszła beczka lodów.

KUĆ ŻELAZO PÓKI GÓR... BACZOW

Rozmowa z Igorem Iwanowem, dyrektorem Młodzieżowego Centrum Twórczości Naukowo-Technicznej w Czerniowcach

— Furorę w ZSRR robią ostatnio instytucje, z których jedną pan kieruje. Centrum ze Swierdłowska, na przykład, zorganizowało międzynarodowy konkurs piękności „Oczarowanie”, centrum z Duszanbe zaplanowało zagranicznemu partnerowi tysiąc hektarów... Poczynania waszych centrów po prostu szokują, a niektórzy wróżą im rychły koniec. Czym szokujecie w Czerniowcach?

— Jeżeli panu to wydrukują, przytoczę jedno z kilku przysłów o Michaiile Sergejewiczu. Brzmi ono: „Kuć żelazo póki Góry... baczow”. Dobrze ilustruje ono run na przedsiębiorczość, znajdujący wyraz w centrach. Działa ich w całym Związku Radzieckim 800, a powołane zostały specjalną uchwałą rządu. Właściwie nie tyle zostały powołane, co zapalono dla nich zielone światło. Na efekty nie trzeba było długo czekać. Centra mogą być tworzone przy dowolnych organizacjach, na przykład przy terenowych organach władz administracyjnych, przy uczelniach, przy Komsomole. Nasze Centrum działa przy Obwodowym Komitecie Komsomolu. Zajmujemy się działalnością

w takich dziedzinach, jak: informatyka i komputeryzacja, elektronika, chemia, fizyka półprzewodników, gospodarka rolno, budownictwo. Centrum działa pół roku i można powiedzieć, że na razie rozkręcamy się.

— Co jest waszym atutem?

— Informatyka. Nasyconie informatykami w Czerniowcach jest największe w ZSRR. Są oni u nas kształceni zarówno w uniwersytecie, jak i w powszechnie znanym w całym kraju Instytucie Automatyki. Nasi absolwenci pracują we wszystkich najbardziej znanych ośrodkach informatycznych w ZSRR. Wielu także za granicą; jest to związane z faktem, że w Czerniowcach i w całym obwodzie mieszka wielu obywateli pochodzenia żydowskiego, którzy emigrują do Izraela, USA, Australii, Kanady, krajów Europy Zachodniej. Wśród nich jest wielu informatyków.

Mając takie zaplecze, zajmujemy się przygotowaniem oprogramowania dla przedsiębiorstw, fabryk, instytucji, a także kształceniem fachowej obsługi systemów informatycznych, komputerów. Zapotrzebowanie na ten rodzaj działalności jest ogromne. Powiem ty-

le: w samym Donbasie zapotrzebowanie na komputery zamyka się wielkością 10 tysięcy!

— Czy to znaczy, że również sprzedajecie komputery?

— Z tym wiąże się moja wizyta w Lublinie. Przyjechałem do spółdzielni „Infel”, aby podpisać wstępne porozumienie w sprawie współpracy. Obejmuje ono między innymi dostawę komputerów 32-bitowych IBM w wersjach AT i XT, urządzeń telewizji satelitarnej, magnetowidów.

— Zamierzacie instalować u siebie telewizję satelitarną? Gdzie?

— Na początek w hotelach, ale także w osiedlach mieszkaniowych. Jest na to zgoda. Lublin ma w tej materii dobre doświadczenia. Z zainteresowaniem obejrzałem sieć TV-sat na Łęczach, zapoznałem się z funkcjonowaniem. Postaramy się coś takiego zrobić również u nas, w Czerniowcach. Na pewno będzie się to cieszyć zainteresowaniem. Zresztą tego typu ofertę będziemy przedstawiać także innym miastom.

— To, co pan mówi, musi budzić zdziwienie, bowiem wasz kraj do nie-

dawna był raczej odporny na tego typu innowacje.

— Przebudowa, zapoczątkowana przez Gorbaczowa, jest widoczna nie tylko w gospodarce. Obejmuje także obszary mentalności społeczeństwa, politykę informacyjną. Jeżeli jest „glasnost”, to nie można równocześnie zamknąć ludziom dostępu do informacji płynących drogą radiową czy telewizyjną. Zresztą, jak pan wie, zaprzestaliśmy zagłuszania niemal wszystkich radiostacji. Czemu mielibyśmy się obrażać na telewizję satelitarną?

— Na jakich zasadach zamierzacie współpracować z „Infelem”?

— Na zasadach rozumnego i wzajemnie opłacalnego partnerstwa. Nam są potrzebne komputery, a „Infel” je sprówadza z Tajwanu. W czym problem? Dogadamy się i wymienimy komputery na interesujące was towary. Na przykład na kabel 75-omowy, niezbędny w instalowaniu sieci TV-sat, czy powiedzmy poszukiwane u was lodówki, zamrażarki, kolbrowe telewizory i inny sprzęt gospodarstwa domowego.

Pierwszy września trzydziestego dziewiątego zastał młodą parę w Kołopolu na Wołyniu, gdzie Tadeusz pełnił służbę w jednym z fortów. Po tem stracili się z czu: Tadeusz poszedł z Kleebergiem, Zina wróciła do Chotyłowa. Rozłąka trwała pięć długich wojennych lat. Pod Kockiem Tadeusz dostał się do niewoli i trafił do obozu w Arnswalde, potem przewiezli go do Woldenbergu. Starszy brat Romek uniknął niewoli, dotarł aż do Anglii, gdzie walczył jako żołnierz RAF-u, m.in. pod Arnheim. Zina chce napisać opowiadanie o jego losach, bo to było tak:

Przed wojną Romek skończył podchorążówkę i znalazł się w pułku w Złoczowie koło Lwowa. Chłopak był przystojny jak malowanie, więc oglądali się za nim wszystkie lwowianki. Piękna Halina, córka starosty, też. I pobrali się. Ptasiego mleka im nie brakowało, tylko dzieci jakoś mieć nie chcieli. Gdy weszli bolszewicy, to Romek wojował, a w domu została Halina z ojcem, matką i siostrą. Starostę Rosjanie zastrzelili, a resztę rodziny zapakowali w wagon, które właśnie zmierzały na Sybir.

W drodze umarła matka Haliny. Do Kustanajskiej Oblastki dojechały Halina i jej siostra ledwo żywe. Odtąd nie widziały niczego więcej prócz tajgi. Wiecej zielonej i wiecej groźnej. Pracowały od świtu do nocy przy karczunku drzewa. Święto było, jak mogły upiec sobie podpiomyki z czarnej mąki zmieszanej z korą.

Tymczasem mąż Haliny, Romek, przedostał się do Anglii. Był skoczkiem spadchronowym. Cudem ocalał mimo poważnego złamania kręgosłupa w czasie jednej z akcji. Po wojnie osiedli się w Kidderminster, skończył kurs zegarmistrzowski i rozpoczął poszukiwania żony przez Czerwony Krzyż. Odnalazł ją na Syberii. Roman zorganizował spotkanie w Anglii. Przyjechała, ale na krótko. W Kustanajskiej Oblastki czekał na nią ktoś bliższy niż Roman. Towarzysz syberyjskiej niedoli.

— Historia Jurka, mojego młodszego brata, to także temat na opowiadanie — mówi Zina Kara. — Niech pan posłucha:

Jurek walczył w AK. Zofię Malkównę, konfidentkę gestapo z Chotyłowa, to on właśnie zlikwidował z kolegami. Zaraz po zabójstwie gestapo urządziło przesłuchania w chotyłowskiej Spółdzielni Rolniczej, tartaku i nadleśnictwie. Niemcy wzięli szesnastu zakładników. Zawieźli ich najpierw na Zamek, a potem na Majdankę. Wśród nich był Jurek.

Zina wraz z młodszą siostrą, Ludką, czyniły starania, aby brata uwolnić. Raz nawet wybrały się do Lublina, weszły za druty Majdanka i skierowały się prosto do biura. Ludka, która znała trochę niemiecki, zaczęła przedstawiać całą sprawę, ale

gestapowiec wściekł się. Rrraus! One wybiegły jak oparzone i na tym skończyły się starania. Potem dziwiły się sobie: przecież stamtąd nie ma wyjścia...

Romek wyszedł z obozu za pół roku jako ostatni z chotyłowskich zakładników.

Helena, młodsza siostra Ziny, to też temat.

Helena mieszkała w Kijowcu niedaleko Białej Podlaskiej. Była tam nauczycielką. Wieś na pół polska, na pół ukraińska. Po wejściu Niemców Ukraińcy wyrzucili polską szkołę do stodoły. W czasie jednej z wielu rewizji znaleziono w nauczycielskim mieszkaniu stary rewolwer, za co mąż Heleny pojechał do Ravensbrück. Helena została z synkiem i garbatą kuzynką. Wtedy przyszło najgorsze: przyjechali Niemcy podpalać wieś...

— Wieś cudem jakimś ocalała — mówi Zina — napisałam o tym opowiadanie „Nauczycielka”.

Opowieść IV: MARIA TERESA

Gdy się czeka tyle lat na kogoś bliskiego, drzy na widok listonosza, gdy się tak czeka długie dni i jeszcze dłuższe noce, gdy ciało umiera z tęsknoty, to ten dzień, dzień powrotu jest najpiękniejszym szczęściem.

— Byłam wtedy w kuchni — opowiada Zina — i nagle coś mnie tknęło. Wyjrzyj przez okno, pomyślałam, i wtedy pies zaszczeł. Zobaczyłam za szybą głowę mężczyzny. To był Tadek. Zmizerowany, staniał się na nogach. Popatrzyłam: taki jakiś inny. Ale był. Musiał wrócić. Przecież, myślałam, on nie może mnie tak zostawić...

Po powrocie Tadeusz dostał wezwanie z wojska, żeby stawić się w Szkole Oficerskiej Piechoty w Lublinie. Wkrótce szkołę przenieśli do Gryfic. Karowie zamieszkali w małym, niepozornym domku. Mieli pokój z kuchnią bez wygód, choć wokół można było jeszcze znaleźć świetnie urządzone wille po Niemcach. Z Gryfic przenieśli się na Śląsk, do Chorzowa, gdzie Tadeusz objął funkcję szefa sztabu pułku. Koledzy szanowali go, politycy podejrzewali. Bo przedwojenny oficer, no i brat z granicą. Wtedy, to jest na początku lat pięćdziesiątych, ludzie zaczęli szeptać, że zaczynają się aresztowania takich jak Tadeusz. Na szczęście przyszło zwolnienie do cywila. Tadeusz rozpoczął pracę w przemyśle jako kontroler.

Przyszła spokojniejszy czas. Ale Zina była smutna, bo nie mogła urodzić dziecka. Nie pomogły kuracje u znanego gdańskiego ginekologa. Tadeusz pocieszał: a co to, ile nam we dwoje?... Dobrze. Ale przeraźliwie smutno. Wtedy zdecydowali: wezmą dziecko z sierocińca.

Zina rozpoczęła wędrowkę po wszystkich domach dziecka na Śląsku. Dzieci do wzięcia było mnóstwo. Większe, mniejsze. Z życiorysem, bez życiorysu. Różne. Wreszcie w domu dziecka w Chorzowie, prowadzonym przez zakonnice, Zina dostrzegła trzy-miesięczną niemowlę z oczami, w których malował się strach. Dlatego może przypadło jej do serca. Gdy dziecko skończyło osiem miesięcy, Zina wzięła je do domu. Tadeusz oszalał z radości.

— Maria Teresa była dzieckiem trudnym. Od początku coś ją przesładowało — mówi Zina. — Jak była mała, to nie mogła spać, a znów w szkole dokuczaly jej koleżanki. Czuli się gorzej, bo źle się uczyła. Stroniła od ludzi, najlepiej czuła się ze zwierzętami. Może byłam za gorliwa, nadopiekuńcza, może za dużą troską ją otaczałam?... Jak szła do szkoły, to nie potrafiła sama zawiązać bucika... Może — pyta stara kobieta — popełniłam niewybaczalny błąd, za który cierpimy do dziś?

Większe kłopoty z Marią zaczęły się już w Chotyłowie, dokąd Zina z Tadeuszem przenieśli się ze Śląska. Ludzkie języki nie szanują tajemnic ani żadnej intymności. Pewnego razu zatrzymała Marię na drodze bratanica Ziny, objawiając urągliwie całą prawdę: ty znajdź!

— Panj sobie wyobraza — prawie krzyczy Zina — co się wtedy stało z naszym dzieckiem?!

W pokoju robi się zimno. Naciągam koc, popijam wystygłą herbatę i wyobrażam sobie to dziecko na drodze, samotne, tylko z tym jednym trującym słowem: znajdź.

Nie ta matka, co urodziła, ale ta, co wychowała, powiedziała Maria na podziękowanie. Innego od córki nie usłyszała. Zresztą nie wymagała tego.

Po podstawówce Maria rozpoczęła naukę w Technikum Rolniczym w Sobieszynie. Ale nie dawała rady, nie pomogły też korepetycje. Dyrektor poradził, żeby przeniosła się do podobnej szkoły w Bojanowie, bo tam łatwiej. W Bojanowie nie było jednak łatwiej. Zina skapitulowała: więcej nauki nie będzie. W domu Maria zapadła na apatię. Nie wstawiała z łóżka, nie myła się, nie odpowiadała na pytania. Dzięki troskliwości Ziny i Tadeusza doszła jednak do siebie. Poszła do pracy. Tam poznała Józefa. Pobrali się i zamieszkali w Terespolu. Pewnego dnia niespodziewanie została wdową. Józef zginął śmiercią tragiczną, na torach.

— Dalej niech pani nie notuje — prosi Zina — wszystko jest w opowiadaniu „Zaszczuta”.

Opowieść V: ŻYCIE WCIAŻ NIE SPEŁNIONE

— Zawsze czegoś szukałam w życiu — usmiecha się Zina — za czymś go-

nilam. Roznosiło mnie. Najpierw szukałam miłości mężczyzny, potem dziecka... Nadal Kocham Marię, chociaż ona nie chce mojej miłości...

Za to w pracy zawsze się układało. W latach pięćdziesiątych nikt w Chotyłowie nie marzył o bibliotece. Z przedwojennych czasów zostało trochę książek, resztę dzieciaki pozbięrały po domach. I to był zalążek biblioteki, której opiekunką została Zina. Szafa z księgozbiorem stanęła w szkolnej świetlicy. Ludzie chętnie czytali, część mieszkanców osady stanowili chłopcy-robotnicy, dużo było młodzieży. Po akcji w różnych instytucjach, przeprowadzonej przez Zinę, przybyły do szkolnej biblioteki jeszcze dwie szafy. Potem Zina założyła filię biblioteki powiatowej, a w Żalutyniu, w domu soltysa — punkt. Po długim wydeptywaniu ścieżek do władzy w mieście, władza w gminie przydzieliła wreszcie bibliotecę lokalną. Za działalność na polu powożecznianstwa kultury Zina dostała wczesny w Warszawie, w Domu Chłopa.

Po latach pożegnali Karowie Chotyłów. Przenieśli się do Białej Podlaskiej, do M-2 w nowoczesnym bloku. Zina, jak dawniej, zajęła się bibliotekarstwem. Potem działalnością kulturalną jako instruktor k.o. w hotelu dla młodzieży pracującej. Tam urodził się nawet kabaret...

W osiemdziesiątym drugim Tadeusz dostał udaru mózgu. Zina przesiadywała nad nim godzinami, musiała, bo fizjologia odmówiła postuszeństwa i trzeba było często zmieniać podkłady. On umierał, płacze na to przypomnienie Zina, a oni założyli mu jeszcze chirurgicznie cewnik... Jakby szkoda im było tych podkładow...

Zmarł Tadeusz.

— W ciężkich chwilach — mówi Zina — praca zawsze pozwalała mi się odnaleźć wśród ludzi. Pani wie, jak trudno jest żyć w samotności?

W samotności napisała wiersz: „Byłeś i radość tańczyła wraz ze mną [...] /Silny, mądry, opoka /odszedłeś w zakłętą rewiry, a ja zostałam /w zasobnym ciepłym domu /bezdomna”.

Kiepski wiersz, mówi Zina, lepsze są opowiadania. Za „Zaszczuta” dostała trzecią nagrodę w ogólnopolskim konkursie organizowanym przez klub „Maksyma”. Jest jego członkiem. W konkursie „Magazynu Rodzinnego” także dostrzeżono jej opowiadanie.

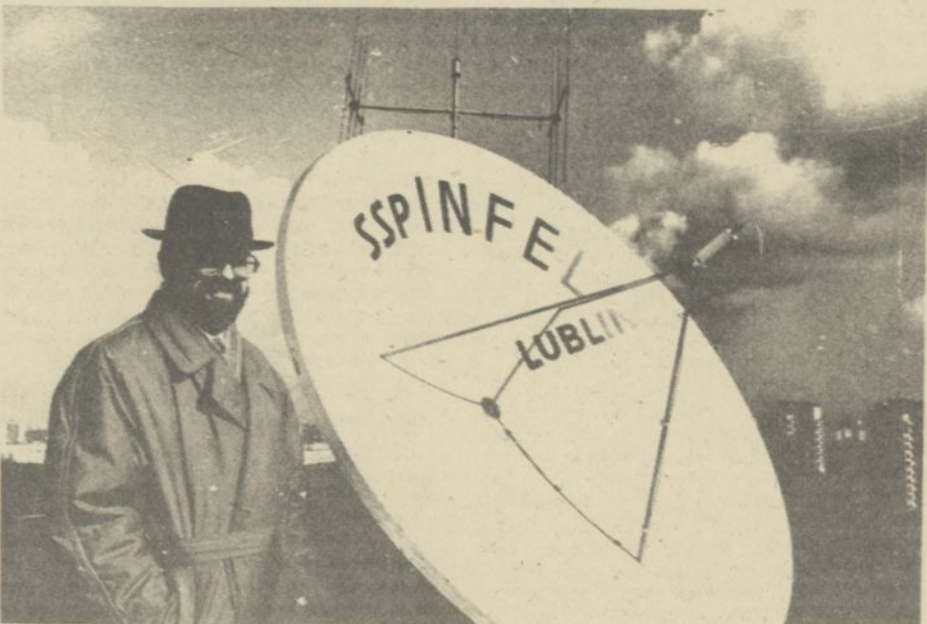
Pisze, pracuje na pół etatu w bibliotece technicznej, czyta, tka kilimy. Na wszystko ma czas.

— Wie pani — mówi — ludzie albo mi się dziwią, że ciągle jeszcze czegoś chcę, albo traktują mnie jak wariatkę. Trudno. Nie zmienia się. Pani to wszystko opisze? — pyta, zmęczona wielogodzinną rozmową.

— Nie wszystko, pani Zino — odpowiadam — nie potrafię. To pani przecież pisze opowiadania...

— Przecież tego wszystkiego brakuje a was na rynku?

— Proszę pana, jeżeli mamy skomputeryzować zakład produkujący zamrażarki, to ja już w umowie zagwarantuję sobie dostawę tych zamrażarek, tak żeby się wywiązać ze zobowiązań wobec polskiego partnera.



Fot. Waldemar Stępień

— Co nie zmienia faktu, że pan to „dejmie” z rynku wewnętrznego.

— W naszej gospodarce, podobnie jak w waszej, obowiązują dzisiaj prawa rynkowe. Kraj nasz cierpi na brak nowoczesnych systemów informatycznych bardziej niż na brak zamrażarek czy wspomnianego wcześniej kabła.

Nech mi pan wierzy: tam gdzie w grę wchodzi dobry interes, wszyscy ludzie są bardzo podobni do siebie. I w ZSRR, i w Polsce, i w USA, i RFN. Ponadto nie będzie to wymiana tego typu. Rozmawialiśmy także o zamawianiu u nas oprogramowania czy wspólnych działaniach na rynkach innych krajów.

— Czy można wiedzieć, jakie zarobki mają pracownicy Centrum?

— Wysokie.

— Co to znaczy?

— Ja zarabiam 600—700 rubli miesięcznie. Nie są to jednak najwyższe zarobki w naszym Centrum. Koledzy w centrach w Odessie, Dniepropietrowsku czy Swierdłowsku zarabiają grubo więcej. W Swierdłowsku nawet po kilka tysięcy rubli miesięcznie!

— Brzmi to jak bajka. Mam w ZSRR wielu znajomych muszących wyżyć z pensji stu kilkudziesięciu rubli.

— Proszę pana, a ja takich nie mam? Moich kolegów po studiach, sąsiadów, członków rodziny...

— No i co?

— No i nic! Działamy w ramach eksperymentu. Jesteśmy zwolnieni z podatków, ale mamy rzeczywiście kreować postęp, twórczość naukowo-techniczną. To robimy. Nie pytamy jednak, czy zgodnie z prawem mamy pracować po osiem godzin na dzień, czy dwa-

dzieścia, kiedy jest taka potrzeba. My się rozliczamy z efektu. Jeżeli robimy coś w miesiąc, a inni w pół roku, to u nas to kosztuje tyle samo. Ale też ten, co to robi, dostaje na miesiąc tyle, ile by dostał gdzie indziej przez sześć.

— Można więc mówić o nowym NEP-ie?

— Niektórzy tak mówią.

— A pan co mówi?

— Proszę pana, przez wiele lat młodzi ludzie w naszym kraju żyli z przeświadczeniem marnowania swoich życiowych szans. Teraz dostali szansę twórczego zaangażowania w proces przemian, jakie u nas zachodzą. Czy to źle?

— W jaki sposób prowadzicie działalność? Jak uzyskujecie zamówienia?

— W praktyce nasza działalność polega na wyszukaniu potencjalnych zleceniodawców, potrzebujących określonego spektrum usług czy nawet tylko jakichś niezbędnych urządzeń, surowców, półproduktów. Następnie maksymalnie szybko staramy się znaleźć kogoś, kto poszukiwane „dobra” posiada, a potem kojarzymy to w jedną całość. Staramy się, aby zakres naszego udziału w rozwiązywaniu czyichś problemów był jak największy, bo od tego zależy efekt ekonomiczny. Powiedzmy, jeżeli jakiś zakład chemiczny produkuje wadliwe wyroby i nie wie, dlaczego tak im wychodzi, to żeby nie tylko zleczył nam ustalenie przy-

Dokończenie na str. 9

NIE MA SZLAMIŃSKIEGO, NIE MA SUCHYCH WĘDLIN, NIE MA ŚLEDZIA. JEST MAŁOPOLSKA BRYNDZA...

WSZECHMOCNE ZAISTE JEST PLANOWANIE

Michał Zieliński

Od kwietnia 1945 roku, kiedy to opracowany został plan produkcyjny dla przemysłu węglowego na drugi kwartał 1945 roku, gospodarka polska rozwija się planowo. W tym czasie uchwalono: dziewięć planów wieloletnich (dwa trzyletnie: 1947—1949 i 1983—1985, sześciolatek i sześć pięcioletnich), trzy „samodzielne” plany roczne dla lat, w których pracownicy przygotowują plany wieloletnie, które — w założeniu — były próbą konkretyzacji planów wieloletnich. Niektóre projekty tych planów przygotowywane były kilkakrotnie (w latach 1956—1960, 1971—1975, 1981—1985), a w przypadku planu sześciolatek de facto — choć nie de iure — dokonano jego zmiany w trakcie realizacji.

Oprócz tego przygotowywano, choć nigdy nie uchwalono, trzy projekty planów perspektywicznych (1960—1975 tzw. „plan Kaleckiego”, kilka wersji planu 1975—1990 i właśnie kończy się układać którąś, kolejną wersję planu na lata 1985—2000). Na szczeblu centralnym (Biuro Polityczne, Sejm, Rada Ministrów) podjęto także, praktycznie niemożliwą do ustalenia, choć bardzo wysoką, liczbę uchwał o działaniach branżowych, resortowych i regionalnych programach rozwoju (w 1983 roku obowiązywały osiemdziesiąt dwa takie programy). Ich realizacja wymagałaby trzykrotnie większych nakładów niż te, które gospodarka w zaplanowanym horyzoncie czasowym mogłaby ponieść).

Na tym planowanie się nie kończy. Jest to dopiero wierzchołek góry lodowej. Planowały resorty (od kilku do kilkunastu ministerstw branżowych) czterydzieści kilka planów rocznych, co daje — circa — pięćset planów, wojewódzkie i makroregionalne organy planistyczne, powiaty i gminy, zjednoczenia, związki spółdzielcze i przedsiębiorstwa. Gdyby dodać te wszystkie plany, mogłoby się okazać, że na głowę mieszkańca przypada więcej niż jeden plan.

Przy sporządzaniu tych planów wykonano prawdziwy ogrom pracy. Nie będzie przesadą, jeżeli założymy, że każdy z 280 tysięcy zatrudnionych w administracji państwowej, miliona pracowników na kierowniczych stanowiskach w gospodarce społecznej, 250 tysięcy magistrów ekonomii zatrudnionych tamże (grupa ta częściowo, ale tylko częściowo, pokrywa się z poprzednią) oraz osiemset tysięcy techników ekonomistów — choć w części zatrudnionych był w pracach planistycznych. Wymienione grupy liczą łącznie ponad 2,3 miliona osób, czyli ponad dwadzieścia procent ogółu zatrudnionych. Jeżeli w sposób całkowicie arbitralny, ale chyba nie zawyżony, przyjmiemy, że tylko trzecią część czasu pracy każdego z nich zajmują czynności związane z planowaniem (w czym mieści się przecież sprawozdawczość, oznaczanie to będzie, że siedem procent czasu pracy, jakim dysponuje gospodarka społeczna, kierowanych jest do tej sfery — w istocie swojej — przedprodukcyjnej. A przecież są jeszcze badania naukowe, zlecane ekspertyzy, prace techniczne związane z drukiem dokumentów i formularzy, itp.).

Po stronie strat mamy zatem siedem procent produkcji sektora społecznego, to jest około pięć procent dochodu narodowego rocznie (szacunek ten można atakować jako zawyżony, ale wówczas trzeba by przyjąć, iż powyżej wymienieni są tak mało zdolni, że nie byłoby w stanie uzyskać wydajności pracy przeciętnego pracownika). A ile po stronie zysków? Tutaj odpowiedzi są różne. Nawet jeżeli przyjmiemy, że profesora Aleksandra Łukaszczyka, który określa planowanie jako „epicką, rewolucyjną innowację”, nieco poniosły emocje (podobnie jak Lwa Trockiego, który w 1935 roku proponował Amerykanom, iż wprowadzi planowanie i obniży im w ten sposób koszty produkcji o dwadzieścia procent), to i tak rozpiętość ocen będzie znaczna.

Andrzej Karpiński, długoletni praktyk planowania, pracownik CUP, PKPG i Komisji Planowania (w la-

tach 1974—1983 jej wiceprzewodniczącym), wystawił planowaniu w Polsce taką oto ocenę: „mimo niepowodzeń, błędów i okresowych regresów [...] planowanie stało się jednym z czynników ogromnego rozwoju sił twórczych, zasadniczego postępu w uprzemysławianiu kraju i związanego z tym postępu cywilizacyjnego” („40 lat planowania w Polsce. Problemy, ludzie, refleksje”, PWE, 1986). Nie w pełni — najdelikatniej mówiąc — zgadzam się z tą oceną, chociaż w pełni podpisuję się pod innym sądem wartościującym wypowiedzianym w tej książce: „bez planowania nie można więc sobie w ogóle wyobrazić dzisiejszego stanu naszej gospodarki”. Bliższa jest mi raczej — trudno to ukryć — przytaczana przez autora „40 lat planowania”, wypowiedź Edwarda Lipińskiego na Kongresie PTE w 1956 r., iż: „planowanie stało się przeszkodą rozwoju gospodarczego”.

Ponieważ ocena Andrzeja Karpińskiego stanowi punkt wyjścia do rozważań w dalszej części tekstu, konieczne jest poczynienie pewnych zastrzeżeń.

W naturalny sposób

Różne są nasze perspektywy oceny. Dla długoletniego wysokiego funkcjonariusza Komisji Planowania ocena działalności planistycznej opiera się o jego wysiłek (wierzę, iż niemały), fachowe umiejętności i dobre chęci (w które nie wątpię) oraz dowody na to, że dzięki niemu i jego współpracownikom udało się uniknąć szeregu idiotyzmów ekonomicznych (zgoda: nie zbudowano portu pełnomorskiego przy Hucie Katowice — ale zbudowano hutę). Dla mnie jest to ocena w oparciu o perspektywę dość szarego konsumenta czy też — jeżeli mam być ścisły — o brak perspektyw. Wiąże się to z trzema podstawowymi faktami. W całym „planistycznym” okresie najpierw moi rodzice, a później ja, przy więcej niż przeciętnych kwalifikacjach i zawsze pracując więcej niż przeciętnie, stykali się z następującymi efektami planowania:

a) zarabialiśmy „plus-minus” (ale raczej minus) w granicach średniej krajowej, czyli mało;

b) zawsze, czasem w mniejszej, a ostatnio w większej skali, na rynku dóbr konsumpcyjnych występowały niedobory typowych, standardowych wyrobów. Nigdy natomiast nie było tak, aby normalny, nie uprzywilejowany konsument mógł kupić to, co chce, czyli zawsze było tak, że odkładała się pewna luka inflacyjna. A mówiąc bez ogródek, po prostu już w momencie wypłaty byłem okradany, gdyż część wynagrodzenia wypłacano mi w „małym pieniądzu”;

c) zawsze skazani byliśmy na zawartą w planie strukturę podaży. Zasada suwerenności konsumenta, która w gospodarce rynkowej zmusza producentów do wytwarzania tego, co ludzie chcą kupić, zastąpiona została przez zasadę „preferencji centralnego planisty”. Zawsze był „ktoś”, kto lepiej wiedział, czy ludzie wolą jeździć autobusem, czy chętniej na piechotę i składać na samochód. Jeżeli nawet ów „ktoś” się zmienił i nowy „ktoś” uznawał, iż dobrze byłoby, żeby ludzie jednak na samochód składali, to równocześnie wiedział lepiej od nich, na jaki samochód powinni oszczędzać. Na ten moralny w istocie rzeczy aspekt sprawy zwracam szczególną uwagę. Nie wydaje mi się bowiem, aby w jakimkolwiek referendum pytano kogokolwiek, czy z prawa podejmowania decyzji, co zamierza kupić, chce zrezygnować. Wydaje mi się przy tym, że ta kwestia, bardziej niż niskie zarobki, jest źródłem frustracji młodego i średniego pokolenia.

Mimo te trzy zastrzeżenia byłbym skłonny przyjąć ocenę pana Karpińskiego (a przynajmniej nie potrafiłbym jej obalić), gdyby planowanie sprawdziło co czynności techniczno-bilansowej. Zgoda, jeżeli umówimy się, iż jacyś „ktosie” wytyczają cele, czyli podejmują zasadnicze decyzje kształtujące warunki życia na dziś i jutro, a zadaniem planisty jest tylko zorganizować w miarę sprawnie procesy, które mają być uruchomione.

Tak przecież jednak nie jest i nie było. I mimo że Andrzej Karpiński

robi czasem do czytelnika oko, twierdząc, iż błędem jest: „nie odróżnianie możliwości i wpływu planowania od [...] wagi decyzji politycznych, w stosunku do których planowanie odgrywa rolę jedynie służebną”, to stronę obok musi stwierdzić, że „planowanie zapewniło zgodność przemian przyjętą linią budownictwa socjalistycznego”.

Tutaj jednak kończą się żarty, a zaczyna drabina. Gdyby planowanie było tylko ekonomiczną techniką organizacji procesów gospodarczych, prawdopodobnie dyskusja ta nie miałaby miejsca. Mogłoby ono być lepsze czy gorsze, przynieść wymierne korzyści albo minimalne straty w zależności od swojej drobnoci. W sumie jednak nie byłoby o co kruszyć kopii.

Niestety, jego podstawową funkcją jest „zapewnić zgodność z linią”, a to oznacza co najmniej trzy dość niebezpieczne rzeczy.

Primo, uporczywe realizowanie pewnej wizji, która powstała sto przeszło lat temu, a więc nadanie gospodarce funkcji czysto ideologicznej;

Secundo, utworzenie pewnej struktury politycznej i uporczywe reprodukcje jej przy pomocy działań ekonomicznych, czyli nadanie gospodarce funkcji politycznych;

Tertio, konieczność zniszczenia naturalnej infrastruktury ekonomicznej, jaką był rynek, co równoznaczne jest z likwidacją możliwości prowadzenia rachunku ekonomicznego, bowiem nie istnieją zobiektywizowane parametry (ceny), potrzebne do tego rachunku. Oznacza to konieczność woluntaryzmu, czyli odebranie gospodarce funkcji ekonomicznych.

Innymi słowy

rzecz ujmując, nieszczęście polega na tym, iż stworzone są możliwości spełniania błędów na olbrzymią, niespotykaną i niemożliwą przedtem — bez planowania — skalę.

Jedną tylko ilustracją powyższych stwierdzeń, ale za to pochodząca z cytowanej książki. Jej autor (proszę darować obszerny cytat) z dumą z dobru spełnionego obowiązku — przypomina w 1986 roku — pisze, iż w pięciolatce 1976—1980 po raz pierwszy wprowadzono do planu zadania związane: „ze zwiększeniem obszaru użytków rolnych sektora uspołecznionego rolnictwa. Chodziło tu nie tylko o zadania dla rolniczych spółdzielni produkcyjnych, ale także po raz pierwszy, o kwestię produkcji podejmowanej w ramach organizacji spółdzielni kolekt rolniczych. Warto przypomnieć, że założono tu bardzo znaczny wzrost arealu użytkowanego przez te organizacje. Związane to było z przewidywanym przejmowaniem gruntów rolników indywidualnych przez Państwowy Fundusz Ziemi w zamian za reńtę i następnie przekazywaniem tych gruntów do zagospodarowania w sektorze uspołecznionym. Zakładano np., że między rokiem 1975 a 1980 areal użytkowany przez rolnicze spółdzielnie produkcyjne wzrośnie z 324 tys. ha do 620 tys. ha, tj. o ponad 91 proc., a przez spółdzielnie kolekt rolniczych jeszcze szybciej, bo odpowiednio z 233 tys. ha do 650 tys. ha, tj. 2,8 razy. Towarzyszył temu założony w planie znaczny wzrost arealu PGR, które miały w ciągu pięciu lat przejąć około 2 milionów ha z gospodarstw chłopskich i Państwowego Funduszu Ziemi”.

Przyznam się, że czytałem ten fragment kilka razy, szczypiąc się, aby sprawdzić, że nie śnię. Tak zwane „miastowe” dzieci ze szkoły podstawowej, jeżeli uważnie przeczyta rocznik statystyczny, to dowie się (dzieci ze wsi nie musi czytać — wie to z własnego oglądu), iż gospodarka uspołeczniona w rolnictwie jest znacznie mniej efektywna niż indywidualna.

Rekordy niegospodarności były przy tym tutaj osławione SKR, które miały ujemną produkcję końcową, czyli więcej wkładały niż wyjmowały. A już dzieci przedszkolne, które w tym czasie zabawiały się wliczanką: „nie ma masła, nie ma serka, wina to jest...”, wiedziały, jaka w 1975 roku była sytuacja żywnościowa kraju (za rok był „czerwiec”). W tej sytuacji trudno jest ocenić politykę przejęcia ponad 2,6 milionów hektarów (czyli likwidację ponad pół miliona gospo-

darstw) z gospodarki indywidualnej do uspołecznionej inaczej niż jako przestępstwo. Tym bardziej, że owo przemianowanie odbywało się poprzez duszenie dochodów rolniczych (cena zboża w skupie krajowym była niższa od płaconej w imporcie), aby skłonić chłopów do porzucania ziemi, a więc miało antybońcowe oddziaływanie także na produkcję tych, którzy mimo wszystko zostawali.

Polityka ta dała wymierne efekty w postaci konieczności wmożnego importu żywnościowego i przyczyniła się do krachu roku osiemdziesiątego. Co więcej, dzisiaj dysponujemy już do wodu na szkodliwość tej polityki niejako z drugiej strony. Gdy w 1988 roku, przy braku możliwości importu żywności, zdecydowano się z niej wycofać i — częściowo — usunięto jej skutki, bez żadnych dodatkowych nakładów pojawił się znaczący przyrost produkcji rolniczej, pozwalający w 1986 roku na uzyskanie nadwyżki (netto) w handlu zagranicznym produktami rolniczymi.

Jak — z niewielką jedynie przesadą — powiedziałem, wszystko wiedzą dzieci w wieku szkolnym. Tym bardziej niemożliwe jest, aby nie wiedział tego poważny funkcjonariusz planistyczny. To, że z zimną krwią opowiada, jak w opisanym przestępstwie uczestniczył i że je w sposób planowy i metodyczny organizował, wywołuje zdziwienie. Nie zdziwienie jednakże, lecz zgrozę musi budzić fakt, iż cytowany fragment jest jednym z pięciu punktów prezentujących pozytywne zmiany w planowaniu w końcu lat osiemdziesiątych. Wszzechmocne zaiste jest planowanie.

Wszzechmocne zaiste jest planowanie. Dlatego, powtórzę, nie mogą oceniać go jedynie jako techniczno-organizacyjnej koncepcji działań. Można oczywiście zastanawiać się teoretycznie, jakie: żywiołowe czy planowane procesy gospodarcze są efektywniejsze. Pamiętajcie przy tym jednak trzeba, że jeżeli zgadzam się na centralne planowanie, kupować je muszę z całym dobrodziejstwem inwentarza, czyli wiedząc, iż służy ono — przede wszystkim — „zapewnianiu zgodności przemian z przyjętą linią”.

Jak do tej pory

Jednak mało było ocen ogólnych. W końcu „kryptokolektywizację” lat siedemdziesiątych potępiono, nienaruszalność własności chłopskiej wpisano do Konstytucji PRL i powyższy przykład traktować można by jako (niestety jeden z wielu) „błąd i wypaczenie”, nie pozwalające na formułowanie ogólnych ocen.

Z formułowaniem ocen ogólnych są jednak kłopoty. Nie można przeprowadzić eksperymentu, w którym ta sama gospodarka raz będzie planowa, a raz — w tych samych warunkach — rynkowa. Rozwiązania zastępcze polegać mogą na skonstruowaniu wewnętrznych kryteriów oceny albo porównaniach międzynarodowych z krajem lub grupą krajów maksymalnie podobnych. Spróbujmy rozpatrzyć, jak przy tych kryteriach oceny wyglądają efekty czterdziestu lat planowania. (Hłasko powiedział kiedyś — czterdziście lat zleciało jak z knuta trzask).

Najprostszym i zapewne dlatego uwielbianym przez planistów sposobem oceny planu jest jego zgodność z rzeczywistością. Cytowany przeze mnie z upodobaniem autor dokonał takiej oceny dla dziesięciu planów wieloletnich i perspektywicznych przy pomocy osiemnastu wskaźników, uzyskując następujące wyniki: dla jednego wskaźnika (eksport do krajów kapitalistycznych) nie wykonano nigdy żadnego planu, dla siedmiu (dwa wskaźniki związane z dochodem narodowym, fundusz spożywczy, nakłady inwestycyjne, produkcja globalna rolnictwa, przeciętna płaca realna, import z krajów kapitalistycznych) nie wykonano od 60 do 78 procent planów, dla trzech (akumulacja, produkcja energii i zbiory zbóż) wykonano jedynie połowę planów, a tylko dla siedmiu mniej ważnych wskaźników wykonano ponad połowę planów. Nie silę się na próbę syntetycznej oceny, gdyż sama idea takiego mierzenia nie wydaje mi się trafna. Jeżeli przyjmiemy bowiem, że o jakości planowania decyduje wykonanie planu, to zawsze można planować bezpiecznie i wykonać plan w stu procentach.

Atrakcyjniejsze wydaje się zestawienie efektów z długookresowymi celami stawianymi przed gospodarką. W tym względzie, jak się wydaje, można mówić o pewnym kryterium minimalnym, jakim jest uzyskanie wewnętrznej zgodności procesów gospodarczych oraz kryteriach efektów gospodarczych

(skala przekształceń strukturalnych) i społecznych (wzrost dobrobytu).

Kryteria równowagi i efektu są — zapewne zawsze — przynajmniej częściowo sprzeczne. Jeżeli tak, to rozróżnienie ekonomiczne nakazuje przedkładać rozwój ponad równowagę. Dlatego uważam wewnętrzną zgodność za kryterium mniej ważne, istotne jedynie w takim zakresie, aby nierównowaga nie dezorganizowała życia gospodarczego i społecznego oraz nie wpływała ujemnie na dynamikę wzrostu. Nawet w takim jednak ujęciu trudno uznać, aby planowanie — poza jednym wyjątkiem niedopuszczenia do nierównowagi o charakterze bezrobocia na rynku pracy — pełniło w naszej gospodarce istotnie porządkującą funkcję. Nie sądzę przy tym, aby w ładne parę lat po teoretycznym o-

Zestawienie zmian gospodarczych w Polsce i Hiszpanii wykonał przed trzema laty Ernest Skalski („Peryferie Europy”, „Tygodnik Powszechny” nr 31/1985). Nie pozostaje mi nic innego jak zestawienie to przedrukować, uzupełniając je jedynie świeżymi danymi.

Przy analizie tych danych uderzają trzy sprawy. Startując w 1950 roku z takiego samego pułapu (mówiąc językiem bokserkim — był to jednak remis ze wskazaniem na nas), po trzydziestu pięciu latach mamy przewagę w dziedzinach surowcowych, takich, jak produkcja energii elektrycznej i stali surowej. Natomiast Hiszpania zdecydowanie przeważa w produkcji wyżej przetworzonej. W świetle tego nie może dziwić różnica druga. W ciągu trzydziestu pięciu lat Polska zwięks-

ści konsumenta, zastąpionej przez preferencje centralnego planisty. W pewnym wymiarze (intelektualnym jedynie, w sensie politycznym nikt tu nikogo nie pytał) epokowa, rewolucyjna innowacja, jaką stanowiło wprowadzenie planowania, była transakcją handlową typu coś za coś. Konsument w zamian za rezygnację z suwerenności, czyli w praktyce za rezygnację z prawa i sposobu oddziaływania na to, co i w jakich ilościach będzie produkowane, miał uzyskać większą efektywność funkcjonowania gospodarki jako całości i w jej następstwie szybszy wzrost spożycia. Wprawdzie niekoniernie tego, czego najbardziej oczekuje, ale a la long powinno mu się to opłacić.

Na handel ten

można popatrzeć z różnych punktów widzenia. Można uznać, że wartości takie jak prawo do decydowania i ilość konsumowanych dóbr są wartościami niewspółmiernymi oraz nieporównywalnymi, i twierdzić, że pytanie o to, czy transakcja jest ekwiwalentna, nie ma sensu. Można wartościom tym przypisywać własne indywidualne wagi i w ten sposób rozstrzygać na lewo bądź prawo. Można na przykład — jakby to uczynił prawdziwy liberał — przypomnieć sobie Lafontainę i Mickiewicza i zacytować bajeczkę o psie i wilku. Można wreszcie sięgnąć do szkoły wiedeńskiej, która uwielbiała zajmować się takimi problemami, i korzystając z jej doświadczeń, powiedzieć, iż — z ekonomicznego punktu widzenia — transakcja jest opłacalna, jeżeli krańcowy (dodatkowy) przyrost efektywności i dobrobytu jest większy niż krańcowy ubytek swobody.

No dobrze, ale co wobec tego powiedzieć o moralnej stronie transakcji, jeżeli ubytek suwerenności konsumenta jest niewątpliwym, a dodatni efekt transakcji wątpliwym. Utrata prawa do akumulacji — zwykły był mawiać Oskar Lange — jest ceną, jaką konsument płaci za prawo przebywania w ustroju socjalistycznym. Za co jest to jednak cena? (Po wielokroć cytowałem to zdanie Langego, ale dopiero teraz uzmysłowilem sobie, że zastąpienie „wyższej efektywności i dobrobytu” „prawem przebywania w” niekoniecznie musi być skrótem myślowym).

A właściwa systemom rynkowym suwerenność konsumenta przypadła! Żeby uzmysłowić czytelnikom, jak duża to strata, zacytuję bardzo plastyczny fragment pamiętników profesora Michała Strzemeskiego; dotyczy on — jak to się dzisiaj nazywa — „funkcjonowania rynku żywnościowego w centrum mikroregionalnym”, ściślej — w małej parotyskiej miejscowości, jaką były przedwojenne Puławy:

„Oczywiście wędliny były zawsze. Międzywojenny puławiak nie zrozumiałby w ogóle, jaka to głęboka myśl kryje się w powiedzeniu: »Dzisiaj dostawa wędlin do sklepu«. Gdyby tak u Szlamińskiego-Zabielskiego zabrakło któregoś dnia suchych wędlin, sardynek, skumbrii w tomacie, holenderskich, szwajcarskich czy litewskich serów, bryndzy małopolskiej, wynikłaby z tego sensacja. »Co się dzieje z tym Szlamińskim?«

Dalej profesor Strzemeski opisuje specjalny serwowany — po umiarkowanych cenach — przez osiem puławskich knajp, który to opis ze względu humanitarnych pominię (choć warto przytoczyć tutaj diagnozę profesora — te kulturalno-gastronomiczne zakłady jakoś swoją zawdzięczały temu, że nie były to „zakłady zbiorowego żywienia”, ale „zbiorowe zakłady indywidualnego żywienia”), i kończy słowami:

„Obraz taki [...] wydaje się dziś nie-realny. Człowiek niby pamięta, ale sam sobie nie wierzy. To było coś tak bajecznego, że już się do tego nie tęskni. Po co tęsknić, jeżeli powrót do tego jest niemożliwy? Ale chyba sen o śledziu mógłby się jeszcze zrealizować, gdyby nasz kraj został kiedyś jako tako zagospodarowany” (Michał Strzemeski: „Nasze Puławy”. Wydawnictwo Lubelskie, 1986).

Nie ma Szlamińskiego, nie ma suchych wędlin, nie ma śledzia. Jest małopolska bryndza, skumbria w tomacie-pstrąg, oraz pasztek z zająca (kto zje — zajęczy). Ale pasztek!

Dr Michał Zieliński jest adiunktem w Zakładzie Ekonomii Politycznej UMCS i członkiem zespołu redakcyjnego miesięcznika „Res Publica”. Zajmuje się problemami współczesnej gospodarki.

**KUĆ ŻELAZO
PÓKI GOR...BACZOW**

Dokończenie ze str. 6—7

czyn, ale także takie udoskonalenie procesu produkcyjnego, aby na przyszłość było lepiej. Jeżeli jakieś duże biuro potrzebuje komputera IBM do przetwarzania mnóstwa danych, to zależy nam nie tylko na tym, aby im ten komputer sprowadzić, ale także go oprogramować stosownie do potrzeb, przeszkolić personel, który będzie go używał, zapewnić serwis.

— Co w tym boomie informatycznym, jaki macie w ZSRR, uważa pan za najważniejsze? W Polsce mamy, na przykład najwięcej komputerów osobistych na jednostkę populacyjną, ale dzieciakom służą w zasadzie tylko dla zabawy.

— Słusznie pan pyta. Wdrażanie techniki komputerowej i informatyki powinno być celowe. U nas też się obserwuje modę na kupowanie dzieciakom mikrokomputerów (głównie „Atari”, na który jest dużo programów), ale potem zwykle służą one do grania w przeróżne gry zręcznościowe. My staraliśmy się wprowadzać informatykę do szkół. Tam powinno się rozwijać zamiłowanie do informatyki, a chociażby zrozumienie dla niej i życzliwość. We wszystkich krajach rozwiniętych poziom zaawansowania informatycznego jest bardzo duży i nikt się tam komputerów nie boi. U nas, niestety, trzeba jeszcze przełamywać opory, choć — prawdę mówiąc — są z każdym rokiem słabsze.

— Często jednak w waszych sklepach podstawowym wyposażeniem ekspedientki czy kasjerki są drewniane liczydła, budzące niemal sensację u turystów zagranicznych...

— Niestety, to prawda. I zresztą na tym przykładzie dobrze widać nie tyle może ubóstwo techniczne, co siłę nawyku. Przecież rzecz nie w tym, że jakiegos sklepu nie stać na kalkulator, tylko w tym, że kasjerka jest nauczona do pracy na liczydłach i nie chce zmieniać tego urządzenia na inne. Z takimi schematami chcemy walczyć.

— Macie w swojej nazwie także „twórczość”. W jaki sposób realizujecie tę dziedzinę?

— Generalnie staramy się promować innowacje, twórcze podejście do rozwiązywania problemów. Nie unikamy jednak wspierania twórczości w bardziej potocznym rozumieniu. Jeżeli ktoś ma, powiedzmy, pomysł na nowe urządzenie elektroniczne, ale brakuje mu pieniędzy na wykonanie prototypu i sprawdzenie koncepcji w praktyce, to my to mu umożliwiamy, a jak rzecz jest naprawdę godna uwagi, możemy zająć się produkcją i sprzedażą. Jest to rola mecenasów.

— Jak rozumiem, jesteście awangardą „pieriestrojki” i angażujecie się w nią raczej nie na pokaz. Czy jesteście dobrej myśli co do jej dalszego przebiegu? Pytam chętnie ze względu na przyszłość o Gorbaczowie, które padło na początku rozmowy, oraz na widoczne w ZSRR zahamowania „pieriestrojki”.

— Z „pieriestrojka” wiążemy się na dobre i złe. Tu nie ma mowy o jakichkolwiek wątpliwościach. Jednak nie jest tajemnicą, że wiele ludzi czeka na jej szybkie efekty. Jak one mogą być szybkie, skoro przez tyle lat utrwalane były struktury zachowawcze, inercyjne? Przebudowa nie jest kwestią roku, dwóch. Jeżeli chodzi o tę część pytania, która dotyczy szans „pieriestrojki” to powiem, że najlepszymi jej gwarantami jest poparcie, jakie ma ona w młodym pokoleniu, które chce po prostu żyć inaczej niż dotąd.

— Co pan robił przed objęciem посады dyrektora Centrum?

— Jestem z wykształcenia matematykiem. Pracowałem na uczelni.

— Nie żałuje pan swojej decyzji?
— Gdybym żałował, nie byłoby tej naszej rozmowy.

— Dziękuję.

Rozmawiał:
Waldezar Piasecki

Tabela 1
Obroty handlu zagranicznego Polski i Hiszpanii w latach 1949—1986

	1949		1970		1986	
	Polska	Hiszp.	Polska	Hiszp.	Polska	Hiszp.
a) mln dol. Import	632	454	3 608	4 716	11 208	35 067
b) proc. imp. świat.	1,0	0,8	1,1	1,4	0,5	1,5
a) mln dol. Eksport	618	380	3 548	2 388	12 074	27 199
b) proc. eksp. świat.	1,0	0,7	1,1	0,8	0,6	1,3

Tabela 2
Produkcja wybranych artykułów przemysłowych w Polsce i Hiszpanii w latach 1950—1985/1986

	1950		1970		1985/1986	
	Polska	Hiszp.	Polska	Hiszp.	Polska	Hiszp.
energia elektr. (mld kWh)	9,4	6,9	57,6	56,5	140	122
stal surowa (mln t)	2,5	0,8	11,8	16,2	17,1	12,0
cement (mln t)	2,5	2,1	12,2	16,7	15,8	21,9
kwas siarkowy (tys. t)	285	456	1 901	2 021	4 030	3 930
statki wodowane (tys. BRT)	14,0	27,0	464	926	195	181
celuloza (tys. t)	130		470	397	595	1 143
papier i tektura (tys. t)	278	143	961	1 281	1 282	2 913
samochody ciężar. (tys. szt.)	0,8	0,2	50	77	55	154
samochody osob. (tys. szt.)	4,0 a	14,4 a	64	455	290	1 217
tworzywa sztuczne (tys. t)	55,4 b	18,4 b	224	411	60	1 340
obuwie (mln par)			62	78	70	83

Uwagi: a — 1955, b — 1960

pisie Janosa Kornaia i naszych praktycznych doświadczeniach wątek ten trzeba było dalej rozwijać.

Podobnie ocenić trzeba zdolność do przekształceń strukturalnych i wzrost dobrobytu. I tutaj dowód jest chyba zbędny. Mnie przynajmniej po tym, jak od trzydziestu lat codziennie niemal słyszę o konieczności zmiany struktury gospodarki, termín „restrukturyzacja” nie chce już przejść przez gardło. A dobrobyt? To, że — grubo licząc — dla dwudziestolecia przedziału czasowego 1970—1990 zafundowaliśmy sobie stagnację spożycia per capita (a i przedtem za bogato nie bywało), trudno uznać za sukces planowania.

Powyższego rozumowania nie można kwestionować, można jednak odbić piłeczkę, twierdząc, że argumenty te nie dowodzą niesprawności planowania w ogóle, lecz tylko naszej w nim nieporadności (czyżbyśmy uczniemi byli najgorszymi w szkole świata?). Niestety, porównania międzynarodowe nie wnoszą za wiele optymizmu. Podobne problemy występują przecież (prawda, że z wyjątkiem Rumunii — na mniejszą skalę) we wszystkich krajach o tego typu gospodarce. A szczególnie miazdzące efekty daje zestawienie w parę państw bliźniaczych: Korei Północnej i Południowej, ChRL i Tajwanu, RFN i NRD.

Polska nie ma swojego bliźniaka,

ale do pewnego stopnia za układ odniesienia służyć może Hiszpania. Ma podobną liczbę ludności, pół wieku temu znajdowała się na zbliżonym poziomie rozwoju i miała identyczną niemal strukturę gospodarki, podobna była także skala składek wojennych.

szyla swój eksport (w cenach bieżących) niecałe dwadzieścia razy, a Hiszpania siedemdziesiąt dwa razy.

I wreszcie najbardziej rzucająca się w oczy różnica: trzecia: Hiszpania z dość dużą łatwością dostosowywała się do wymogów koniunktury, znacznie zwiększając produkcję, jeżeli jest bardzo opłacalna, i redukując, gdy opłacalność spada. W Polsce te wahania są istotnie mniejsze i pokrywają się nie tyle z hossa na rynkach, co ze wzrostem potencjału produkcyjnego. Przykładem choćby stal, której produkcja u nas ciągle rośnie mimo bessy cenowej. Ale co tam, w naszej gospodarce planowej nie będzie nam rynek — na dodatek światowy — dyktował, co mamy produkować.

Wydaje mi się, że dotychczasowe rozważania upoważniają mnie do wysunięcia wniosku, iż założona przewaga systemów gospodarczych opartych o centralne planowanie nad systemami rynkowymi (w których współczesnie, rzecz jasna, też można mówić o centralnym kierowaniu gospodarką, ale nie przybiera ono postaci planowania ogólnopanstwowego) w zakresie wyższej efektywności gospodarowania, większej możliwości przekształceń struktury gospodarczej i większych możliwości zaspokojenia potrzeb całego społeczeństwa jeszcze się nie potwierdziła. Celowo formułuję ten wniosek w takiej dyplomatycznej formie, gdyż nie chcę nikogo drażnić. Nie mam także zdolności jasnowidzenia i choć wolno mi mieć pewną intuicję co do przyszłości, nie muszę jej tutaj przedstawiać. Jest to w końcu kwestia empirycznie sprawdzalna, a zatem pożyjemy — zobaczymy.

Chcę jednak w tym miejscu wrócić do kwestii tak zwanej suwerenności

„KŁAMSTWEM JEST, JAKOBY PIÓRO SILNIEJSZE BYĆ MOGŁO OD MIECZA”

DZIURA W SERCU

Rozmowa z Anną Kołyszko,

tłumaczką utworów Salmana Rushdiego

— Staje się pani osobą bardzo popularną. Jednak powód tej popularności nie budzi chyba zachwyty?

— Oczywiście, że nie! Wrzawa wokół autora, którego starałam się przybliżyć polskiemu czytelnikowi, wynika z powodów nie mających nic wspólnego z jego rzeczywistymi intencjami, a już na pewno nie związanych z literaturą. Jest mi po prostu przykro, że wszystko to spotyka człowieka dalekiego od wszelkich ekstremizmów, nastawionego do życia ogromnie życzliwie i pogodnie, tolerancyjnego, a przede wszystkim zorientowanego pacyfistycznie, przeciwnika wszelkich dyktatur, zniewoleń, autora słów: „Kłamstwem jest, jakoby pióro silniejsze być mogło od miecza”.

— Wygląda na to, że może... W jakim nakładzie ukazały się „Szatańskie wersety”?

— Na Zachodzie nie podaje się nakładów w stopce książki. Z tego, co słyszałam, wydrukowano kilkaset tysięcy w twardej okładce i większą część skierowano do księgarń, chociaż potem zaczęto wycofywać. Nie sądzę, aby ktokolwiek znał rzeczywistą ilość sprzedanego nakładu.

— Czy pani czytała już „Wersety”?

— Jestem w trakcie czytania. Egzemplarz otrzymałam niedawno i zresztą na krótko. Nielatwa to literatura. Rushdie jest metafizyczny, dydaktyczny. Akcja toczy się w kilku planach i na różnych poziomach realizmu. Trzeba znać bardzo dobrze realia subkontynentu indyjskiego, religię islamską, kulturę hinduską, aby dobrze zrozumieć tę lekturę.

— Największą zbrodnią według islamu jest bluźnierstwo i wyrzeczenie się wiary. Islam przewiduje za nie karę śmierci, dopuszczając jednak możliwość przebaczenia, jeżeli błędzący w porę zrozumie swój błąd, wyrazi skruchę i publicznie odepnie od bluźnierstwa, naturalnie przepraszając także tych, których obraził. Nie zastanawiając się nad przystawalnością fundamentalnej interpretacji islamu do realiów kultury europejskiej, spróbujmy ustalić, czy rzeczywiście Rushdie popełnił „zbrodnię”. Jakie elementy fabuły mogą za to bulwersować fundamentalistów szyickich?

— Może powiem nieco o korzeniach kulturowych Salmana. Pochodzi on z muzułmańskiej rodziny hinduskiej. Ojciec — znany arabista, absolwent Cambridge, matka — gawędziarka, dziadek — poeta. Wychowanie się w takiej rodzinie sprzyjało zapewne nie tylko „mechanicznemu” przyswajaniu religii, ale także budowaniu refleksji intelektualnej z nią związanej. Rushdie mówił, że cały subkontynent zanurzony jest w religii i nie można na nim żyć, nie będąc w religii zanurzonym.

Naturalnie nie chodzi tu tylko (czy nawet głównie) o islam, ale o wielość religii z buddyzmem na czele. Islam pojawił się tu późno i nie mógł się rozwijać w totalnym oderwaniu i pogardzie dla zastanych tradycji. Salman dobrze to rozumiał i miał, na przykład, pretensje do rodziców, że po dekolonizacji przeprowadzili się z Bombaju do Karaczi, stolicy powstałego akurat muzułmańskiego Pakistanu. Mając zresztą czternaście lat, wyjechał do Anglii, gdzie najpierw ukończył renomowaną szkołę w Rugby, a potem Cambridge (islamistyka). Nie uważał, aby kontakt z buddyzmem czy nawet chrześcijaństwem mu jakoś „zagroził”. Gdy pytano go o Boga i religię, odpowiadał, że w miejscu, gdzie powinien mieć Boga, ma w sercu dziurę, którą przez całe życie próbuje wypełnić. Napisał to zresztą w „Midnight's Children” („Dzieciach północy”), które przełożyłam na polski, i które mają się w tym roku ukazać w „Czytelniku”. Trudno człowieka o takich poglądach uznać za fundamentalistę i tak go „rozliczać”. Choć naturalnie zawsze deklarował on

przynależność do kręgu kultury islamu.

W „Wersetach” akcja toczy się wokół nagłego pojawienia się w Londynie dwóch mężczyzn. Spadają oni z nieba, bo samolot, którym lecieli, został wysadzony nad Kanałem La Manche. Jeden z nich nazywa się Gibreel, co łatwo daje się skojarzyć z archaniołem Gabrielem, drugi — Saladin — jest reprezentantem sił piekielnych. Obaj zadomowiają się w Londynie. Tam też nawiązują się do biznesmena Mahounda (imię Szatana), który przypomina w działaniu Mahometa, zwłaszcza w scenach objawień i dyktowaniu ich treści w celu spisania (analogia do „Koranu”). Życie Mahounda nie jest życiem ascety. Również prostytutki w celach merkantylnych przyjmują imiona żon Mahounda-Mohameta oraz ich cielesność (realizm magiczny).

Takie wariacje Rushdiego na temat islamu wywołały oburzenie. Szczególnie irytujący wydaje się autor, gdy podważa — w percepcji czytelników — nieomyślność Proroaka, a więc bluźni. Tyle, że Rushdie na sprawę wiary patrzy mniej ortodoksyjnie. Mówi: wierze nie można przeciwstawić niewiary; można jej przeciwstawić zwątpienie, które przecież może ostatecznie doprowadzić na powrót do wiary. W takim rozumieniu autor nie jest renegatem, a jedynie człowiekiem, który wątpi. Tak zresztą był odczytywany przez wielu muzułmanów. Również oświadczenie Salmana po „wyroku” Chomeiniego, że „głęboko żałuje cierpień moralnych, jakie publikacja spowodowała u wyznawców islamu”, było konsekwencją takiego sposobu patrzenia na religię. Niestety, nie zostało ono uznane za wystarczające przez imama.

— „Wersety” nie są pierwszą skandalizującą książką Salmana Rushdiego. Tłumaczone przez panią „Dzieci północy” poruszyły w swoim czasie Indie...

— „Dzieci” są sagą fantastyczno-polityczną, dziejami rodziny na tle historii Indii od uzyskania niepodległości w 1947 roku do lat osiemdziesiątych. Książka pokazuje religijne, społeczne i polityczne uwikłania subkontynentu. Pewne kontrowersje wywołała postać przywódczyni (Indiry Gandhi). Pokazana jest jako despotka, na dodatek odpowiedzialna za śmierć swego męża. Reakcja w Indiach była dwójaka. Podziemie wydawnicze zarzuciło kraj nielegalnymi wydaniem „Dzieci”, a rząd zagroził konfiskatą oraz surowym karaniem wydawców i sprzedawców. Ostatecznie doszło do kompromisu, związanego zresztą z wizytą Rushdiego w Indiach. Wyraził on zgodę na usunięcie dwóch zdań obrażających Indirę, a ona na oficjalne wydanie powieści. Nakład utworu w Indiach przekroczył 1 mln egzemplarzy, co wydaje się dobrą miarą siły oddziaływania książki.

— Dwa lata później Salman Rushdie publikuje „Hańbę” i tym razem mamy skandal w Pakistanie.

— Powieść jest karykaturą dyktatury, represji, zniewolenia, wszelkich brudów polityki, wiodących do partykularnych celów poprzez gwałcenie etyki. Pokazani są dwaj dyktatorzy, z których jeden zostaje obalony przez drugiego, swego wcześniejszego sługusa. Analogia do Zulfikara Ali Bhutto i Zia ul-Haqa była nadto oczywista. Jak powiedział potem Salman, wiedział, że w Pakistanie rozgrywa się tragedia, ale jej bohaterowie nie wnieśli się do poziomu aktorów tragicznych. Byli raczej drugorzędą trupą teatralną, którą przypadkowo obsadzono w „Makbecie”. Czy to się mogło podobać? Akcenty krytyczne dosięgły także rówieśnicy Rushdiego, Benazir Bhutto, już wów-

czas bardzo ambitnej i rozpolitykowanej „young lady”.

— „Dzieci północy” i „Hańba” zostały wysoko ocenione przez krytykę i nagrodzone, m. in. prestiżową Nagrodą Bookera. Czy można to wiązać z ich skandalizowaniem?

— Proszę pana, Salman Rushdie otrzymał Bookera za „Dzieci północy”, mając 34 lata. Prócz tego inną prestiżową Nagrodę Unii Literaturoznawczej (English Speaking Union Literary Award). Do zdobycia Bookera po raz drugi (i to z rzędu) za „Hańbę” zabrakło mu jednego głosu. Uznał go jednak największym talentem literackim Wielkiej Brytanii lat osiemdziesiątych. Czy pan naprawdę podejrzewa, że takie honory rozdaje się za uprawianie jakichś politycznych gier na łamach literatury?!

— Potem spotykamy autora na wojnie w Nikaragui, czego plonem staje się „Uśmiech jaguara”, wydany w 1987 roku. Co może pani powiedzieć o tej książce?

— Jest to zbiór reportaży o wojnie współczesnej, atakujący sytuację, gdy jedna dyktatura zostaje obalona i zastąpiona inną. Rushdie, jako socjaldemokrata, opowiedział się za rewolucją sandinowską oraz jej obroną zarówno przed imperializmem, jak i komunizmem.



Salman Rushdie

Fot. „Der Spiegel”

Wojna nie była jedynym celem jego podróży. Salman chciał być jak najbliższy tego regionu świata, gdzie powstał realizm magiczny. Chciał go badać, przesiąkać jego atmosferą. Nie jest żadną tajemnicą, że ulubiony pisarz Rushdiego to Gabriel Garcia Marquez. Istnieje nawet domniemanie, że bohater „Wersetów” Gibreel bierze swe imię od imienia Marqueza.

— Czy można więc wysnuć wniosek, że „Wersety” są jakby plonem bezpośredniego zetknięcia Rushdiego z krainą realizmu magicznego?

— Trudno o stwierdzenie tego w sposób tak kategoriyczny, ale kiedy rozmawiałam z nim w Londynie o dopiero co ukończonych „Szatańskich wersetach”, wyraźnie nawiązywał do realizmu magicznego. Powiedziałabym raczej, że realizm magiczny wydał się autorowi właściwą formą wypowiedzi dla tego, co chciał powiedzieć. Jak mi mówił, chciał pokazać problem zła na świecie. Chciał to uczynić, sumując doświadczenia swojej trójkulturowości (mówi, że jest dzieckiem trzech matek: Indii, Pakistanu i Anglii). Sądził, że dojrzał już do takiej wypowiedzi, będąc — jak zaznaczał — „strzępem różnych kultur i oddziaływań”.

— Co zapamiętała pani z tego spotkania w sposób szczególnie wyrazisty? Mam na myśli walory intelektualne. O towarzyskich — potem.

— Interesujące wydaje się podejście Salmana do objaśniania mechanizmu powstawania wielkich idei (i ideologii). Za dwie idee wiodące w naszej historii nowożytnej uznaje on islam i marksizm. Porównując je, zwrócił uwagę na dwie próby, jakie musi przejść każda nowa idea, aby świat ustalił swój do niej stosunek oraz pewien consensus, wedle którego będzie z nią żył (o ile w ogóle jest możliwy consensus). Otóż Rushdie powiada, że nowa idea wymaga od słabych tolerancji, a od silnych — kompromisu. Od wyniku i bilansu tej próby zależy „sposób życia” świata z ideą. Naturalnie usłyszałam także interpretację dotychczasowego wyniku tych dwóch prób w odniesieniu do

islam i marksizmu. W obecnej sytuacji wolę zachować ją dla siebie.

— Czy Rushdie zdawał sobie sprawę, że „Wersety szatańskie” mogą się nie podobać?

— Zdawał sobie sprawę z dyskusyjności swoich rozważań i tego nie ukrywał. Na pewno nie spodziewał się aż takiego spotęgowania reakcji negatywnych.

— Pani znajomość osobista z Salmanem Rushdie rozpoczęła się od bardzo oryginalnego listu skierowanego do pisarza. Jego forma — oscylująca zresztą w okolicach realizmu magicznego — niektórych widzów jednak zbulwersowała, gdy się z nią zapoznali podczas pani występu w TVP.

— Napisałam Salmanowi, że przez ostatnie dwa i pół roku spędziłam z nim wiele nocy sam na sam. Chodziło o tłumaczenie „Dzieci północy”. Potem była wizyta w jego londyńskim domu i spotkanie, w którym uczestniczyła także Maria Strasz-Kańska z Wydawnictwa Literackiego, co podaje dla ewentualnych interpretatorów kwestii „sam na sam” zawartej w liście.

— Jak przyjął znany pisarz swoją tłumaczkę na egzotyczny język słowiański?

— „Dzieci północy” zostały przełożone na dwadzieścia języków, w tym istotnie tylko na jeden słowiański, i to nie ten najpopularniejszy. To w kwestii egzotyki. Jeżeli chodzi o Salmana Rushdiego, to jest on prawdziwym gentlemanem i bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Kiedy weszliśmy do jego gabinetu pierwszym, co rzuciło się w oczy, były egzemplarze „Literatury na Świecie” z moim tłumaczeniem „Dzieci północy”, a także mój list leżący na biurku. Można naturalnie uznać to za przypadek, albo przyjąć, że pisarz nigdy nie rozstał się z naszym piśmem. W rzeczywistości jednak był to serdeczny gest kurtuazji. Podczas spotkania Salman był niezwykle otwarty, ciepły i w pełni skoncentrowany na osobie i temacie rozmowy. A rozmawialiśmy o sprawach bardzo różnych. O takim, między innymi, paradoksie, że w momencie, gdy ludzie, na których mu zależało (krytycy, pisarze, filozofowie, intelektualiści, przyjaciele), zaakceptowali jego pisarstwo, zaczęli przeszkadzać mu w pisaniu nieustannymi telefonami, wizytami, zaproszeniami. Nie bardzo wiedział, jak się pozbyć tego „ballastu”, nie obrażając nikogo. Telefon dzwonił w czasie spotkania bez przerwy. Rozmowy (monologi) nagrywała maszyna, ale włączony był również głośnik, tak że dobrze było słycać, kto i z czym dzwoni. Były to zaiste sprawy bardzo różne: prośby o wywiad, wykład, przeczytanie czegoś, po białemu: „jak sobie radzisz?”. Jeżeli jakoś mogłabym spointować nasze spotkanie, powiedziałabym, że bagaż swej sławy nosił z wdziękiem.

Jego dom był typowym domem angielskim, tradycyjnym w umeblowaniu, choć z widocznymi akcentami wschodnimi. Moją szczególną uwagę zwróciła sterta zaproszeń na koninku. Na samym wierzchu leżało zaproszenie na garden party u królowej Elżbiety II.

— Co robi rodzina Rushdiego? Czy jest żonaty? Ile ma dzieci?

— Rodzice, o ile wiem, mieszkają do dziś w Karaczi. Salman ma trzy starsze siostry, z których jedna mieszka w Anglii (jest autorką książki kucharskiej z tradycyjną kuchnią hinduską). Sam Rushdie jest żonaty po raz drugi. Z pierwszego małżeństwa, z Angielką, ma dziewięcioletniego syna. Obecna jego żona jest Amerykanka.

— Nasza rozmowa powoli zmierza ku końcowi. Jeżeli teraz ja mógłbym podzielić się impresją, to nie potrzeba szczególnej spostrzegawczości, aby widzieć pani emocjonalny, ale i pełen zrozumienia stosunek do Rushdiego i jego twórczości. Pracując nad przekładem „Dzieci północy” oraz czytając inne powieści ukrywające się dziś pisarza, miała pani możliwość studiowania podstaw kultury, z którymi Rushdie się identyfikuje. Czy nie odnosi pani wrażenia, że wnosząc gmach swojej tożsamości, wspartej na tradycji i historii hinduskiej, religii muzułmańskiej i intelektualnej teraźniejszości śródziemnomorskiej, europejskiej — Salman Rushdie po prostu przegrał, został przyspany gruzami własnej konstrukcji? Czy nie jest to wręcz cios w europejskie poczucie uniwersalizmu naszej kultury?

— Mimo wszystko wierzę, że Salman Rushdie kiedyś będzie mógł przestać się ukrywać i wrócić do normalnego życia, a także pisania. Inny wariant byłby klęską nie tylko naszej kultury europejskiej, ale kultury współczesnej świata jako całości.

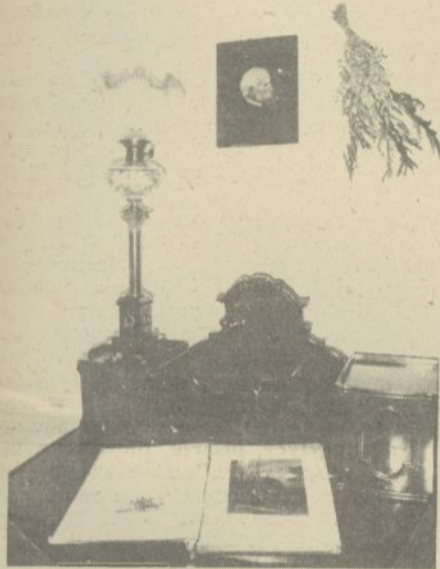
— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

„NASZYM PRAWEM MIŁOŚĆ OJCZYZNY”

WYSTAWA W DWORKU WINCENTEGO POLA

Violetta Krasnowska



PRZY akompaniamentem dźwięku dzwonów z kościoła w Lesku i Bachórcu otwarta została w Dworku Wincentego Pola, przy ul. Kalinowszczyzna 13, wystawa zatytułowana „Amor patriae nostra lex”. Tytuł zaczerpnięto z sentencji herbowej Krasickich z Siecina herbu Rogala. Właśnie im i związkowi, jakie łączyły ten ród z Wincentym Polem, poświęcona jest ta wystawa.

Kustoszuzeum, a zarazem główna inspiratorka i organizatorka ekspozycji — Władysława Zossel-Wojtysiak,

„ściągała” eksponaty, skąd się dało: z Biblioteki Narodowej w Warszawie, Biblioteki KUL, Dworku Kościuszków w Lublinie, Muzeum Narodowego w Warszawie i Krakowie, Muzeum Ziemi Przemyskiej, Muzeum w Kozłówe, Muzeum Tatrzńskiego w Zakopanem, a także ze zbiorów rodzinnych Ksawerego, Ignacego i Marcina z Siecina Krasickich. Wkomponowania tych eksponatów w małe, kameralne wnętrza Dworku Pola dokonała, otrzymując piękny efekt, Barbara Kowalczyk z Muzeum na Zamku w Lublinie. Dużą pomocą przy organizowaniu wystawy służył również potomek rodu — Ksawery Krasicki.

Wincenty Pol był częstym gościem w dobrach Krasickich i — jak powiedziała kustosz Dworku Pola — poprzez tę wystawę Pol teraz podejmuje swoich przyjaciół, opiekunów u siebie. Jest to więc „rewizyta” po wielu latach.

Jak wielki wpływ wywarła ta rodzina na poetę zapisał Kazimierz Chłędowski: „Rzec można, że tradycja domu Krasickich stworzyła talent Pola; najpiękniejsze jego pomysły, najpiękniejsze opowiadania stamtąd biorą swój początek [...]. Poeta, przejęty duchem, który wiał w tym domu, wyśpiewał na podstawie opowiadań Krasickich swoje poematy”.

Najbardziej emocjonalnie Pol związany był z Ksawerym Krasickim, którego poznał we Lwowie w 1832 roku. Ludwik Jabłonowski w swoich pamiętnikach notuje: „Jego osobowość, zwy-

czaje, opowiadania stworzyły — nie cofam tego wyrazu — Pola; dopiero zetknąwszy się z panem Ksawerym, stał się sobą, a ta laickość, w której nikt mu nie dorównywał i prawdopodobnie nie dorówna, była wpływem duszy pana Ksawerego, magnetyczną siłą blakającą się myśl Pola na prawdziwą wprowadzając drogę”.

Ten „wpływ duszy” wyraźnie widać w prezentowanym na wystawie egzemplarzu poematu o rycerzu kresowym pt. „Mohort czyli wieczory kalenickie” Wincentego Pola, który to utwór narodził się z gawęd Ksawerego Krasickiego o Mohorcach, pod którego dowództwem służył on na Kresach. Jest to

jest plon tych wędrowek — rysunki Pola.

Ale przecież nie tylko zobrazowaniu przyjaźni poświęcona jest ta ekspozycja, bo jest to także — poprzez ukazanie dzieł jednego rodu — ukazanie części naszej historii i kultury. Znajduje się tutaj obraz przedstawiający zamek w Lesku, którego widok natchnął Pola do napisania w 1835 roku najsłynniejszego utworu, „Pieśni o ziemi naszej”. Na wystawie są także rycinami zamków w Krasieczynie, Sanoku, Baranowie, zdjęcia przedstawiające wnętrza dworku w Bachórcu.

Nie brak na tej wystawie również portretu i sukmany Tadeusza Kościuszki, którego wielbicielem był Ksawery



przetłumaczony na język sztuki pisarskiej sam pan Ksawery. Krasicki, chcąc mieć przyjaciela jak najbliższego, zaproponował mu zamieszkanie w dworku kalenickim, niedaleko Leska. Pol, jakby w podzięk za ten gest, w 1838 roku podjął się prac restauracyjnych w zniszczonym zamku leskim. Fragmenty korespondencji między Polem a Ksawerym Krasickim, prezentowane na wystawie, świadczą o ich wielkiej przyjaźni.

Drugą osobą z rodu Krasickich, która miała niewątpliwie wpływ na Wincentego Pola jako etnografa, był syn Ksawerego — Edmund. Z nim to wyruszał Pol na wędrowki i nazywał swoim nauczycielem etnografii. Oprócz przedstawienia sylwetki Edmunda, jego portretów, eksponatów z nim związanych, na wystawie prezentowany

Krasicki. Do bardzo cennych eksponatów należą albumy rodzinne Krasickich, pas słucki, księga pamiątkowa zamku leskiego. Znajduje się tu również portret Augusta Krasickiego, który m.in. brał udział w ocaleniu Kozłówek w latach 1914—1916. Interesująca jest także z punktu widzenia dawnej obyczajowości duża akwarela Juliusza Kossaka pt. „Wyjazd na polowanie”.

„Naszym prawem miłość ojczyzny” to opowieść o wspaniałych ludziach, wspaniałych Polakach, o przyjaźni i o historii. To wszystko w nastrojowych, przytulnych wnętrzach Dworku Wincentego Pola w Lublinie.

Wnętrza Dworku Wincentego Pola fotografował Waldemar Stępień

MUZYKA

SOLIŚCI FILHARMONII

Teresa Księżka

TRZY różne szkoły, trzy odmienne specjalności: polska skrzypaczka Teresa Głębowna, węgierski pianista Jenő Jandó i rosyjska wiolonczelistka Marina Tarasowa gościli na estradzie Filharmonii Lubelskiej: 17, 18, 19, 23 i 24 lutego A.D. 1989.

Program pierwszego (po zimowej przerwie semestralnej) z koncertów wypełniła muzyka polska: nieco eklektyczna UWERTURA do opery MARIA R. Statkowskiego, I KONCERT SKRZYPCOWY K. Szymanowskiego i wspaniały, przejmujący w wyrazie, Poemat symfoniczny POWRACAJĄCE FALE op. 9 M. Karłowicza. W lutym mija 80. rocznica tragicznej, do dziś nieodgadnionej śmierci wielkiego kompozytora. Całość wraz z lubelskimi filharmonikami przygotował Ryszard Komorowski.

Uwertura Statkowskiego jawiła się w charakterze dokumentu historycznego. Jej autor, niegdyś zdobywca najwyższych nagród na międzynarodowych konkursach muzycznych w Londynie i Warszawie (lata 1903 i 1904), po prostu nie przeczuł nadchodzących zmian estetycznych (w przeciwieństwie do Szymanowskiego i Karłowicza!). Niezawodnie sprawny warsztatowo (w końcu uczeń m. in. M. Rimskiego-Korsakowa), „ostał się” w romantycznej aurze dźwiękowej, harmonice i języku. W tym czasie panowanie nad światem objęły impresjonizm, ekspresjonizm, zwolennicy witalizmu, syntetyzmu, neoklasyzmu. Cóż, historia i tylko ona — próżne żale.

Blyskotliwy, jednocześnie zmysłowy i wyrafinowany w swej istocie, I Koncert Szymanowskiego znalazł utalento-

waną wykonawczynię w osobie Teresy Głębowny, docenta Akademii Muzycznej w Krakowie, laureatki międzynarodowych konkursów muzycznych w Brukseli i Genewie. Kariera tej wybitnej skrzypaczki biegnie zaiste dziwnym szlakiem, ale ci, którym zdarza się słuchać jej gry, pozostają w niesłabnącym podziwieniu dla niezwyklej wrażliwości i perfekcji instrumentalnej. Teresa Głębowna dysponuje ponadto szeregowej urody brzmieniem, jest ogromnie staranna, skupiona i wolna od chęci „podobania się”. Gdzież, u diabła, jej dyskografia, ile lat jeszcze mamy na to czekać?!

Ryszard Komorowski miał bardzo pracowity i owocny okres. Czujne towarzyszenie Teresie Głębownej, później sugestywny obraz muzyki „Powracających fal”, wreszcie w niedzielę, 19 lutego, współpraca z Jenő Jandó w II KONCERCIE FORTEPIANOWYM A-DUR F. Liszta. Filharmonicy lubelscy w granicach swych górnych możliwości!

Występ węgierskiego pianisty składał się z dwóch części: recitalowej — w niej Fantazja c-moll KV 475, Sonaty c-moll KV 457 i A-dur KV 331 W. A. Mozarta — oraz symfonicznej, tj. wspomnianego już Koncertu Liszta.

Część pierwsza programu miała swoje lepsze i gorsze strony. To prawda, że utwory Mozarta grywa się wyjątko-

wo trudno, bo przyjrzyta i finezyjna faktura obnaża słabości pianistyki i zwyczajnie niechlujstwo pedałacyjne i artykulacyjne. Kropka. Mogło i powinno być lepiej; w końcu nikt nie rozdawał za darmo nagród na konkursach w Budapeszcie, Wersalu, Mediolanie (bardzo znaczący Konkurs im. Dino Ciani) czy w Sydney. Na szczęście w Koncercie Liszta wątpliwości znikły. Jenő Jandó jest rasowym pianistą, mimo wszystko.

Ostatnia z solistek, Marina Tarasowa, wychowanka prof. Natalii Szachowskiej, również laureatka międzynarodowych konkursów muzycznych, wykonała bardzo trudny i efektowny zarazem KONCERT WIOLONCZELOWY H-MOLL op. 104 A. Dworzaka. Grała w sposób dość charakterystyczny, by nie powiedzieć: typowy dla szkoły radzieckiej — wylewnie, dużym tonem, nie-nagannie technicznie. Może, gdyby nie pamięć o wrześnieowym koncercie z tym samym programem (Josefa Podhoranskiego), wrażenie byłoby większe.

Nadspodziewanie dobrze zaprezentował się natomiast młody dyrygent z Katowic, Jerzy Kosek, zdobywca zaszczytnego wyróżnienia na III Międzynarodowym Konkursie Dyrygentów im. G. Fitelberga w 1987 r. VIII Symfonia Beethovena miała właściwy jej klimat emocjonalny, należną dramaturgię i precyzję wykonawczą. Bravo!

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Anopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublińnianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna” — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relacje podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Anopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo, odniesień, do rodzinnego regionu. Píše też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński

Obóz jeńców wojennych w Zaporozu, 24 grudnia 1939 r.

I znowu minęło wiele dni. Minął również okres zwalniania do domów w drodze wymiany z Niemcami. 27 listopada doszła nas wieść o wymianie jeńców. Ale radość szybko zamieniła się w smutek, bo okazało się, że Niemcy wymieniają tylko swoich obywateli, oddając w zamian obywateli sowieckich oraz Ukraińców i Białorusinów. Niektórzy wypierali się polskiego obywatelstwa i przyznawali do niemieckiego. Ci mieli prawo powrotu do kraju. Sowieci może by i wymienili Polaków na Ukraińców i Białorusinów, ale ci nie kwapią się jakoś na wyjazd do ZSRR: wolą przeczekać okres wojenny w bombardowanych Niemczech. Kto co woli, jak widać.

Nadeszło Boże Narodzenie. Pierwsza gwiazdka, którą mamy obchodzić uroczysto, choć w niewoli.

Nie jestem osamotniony. Razem ze mną jest wielu kolegów, którzy, podobnie jak ja, skazani są na Święta z dala od rodzin. A ponadto — w niewolniczych warunkach, na ziemi bezbożnej.

Jest nas tutaj, w Zaporozu, około 1600 ludzi. Przeważają wojskowi (bo są także cywile). Sami mężczyźni.

Mieszkać nadal w baraku nr 3, ale już nie w salce nr 11, tylko — nr 9. Najpierw było nas dziewięciu. Na dolnej przycy: Stefan Szczepankiewicz, saper Jagielski, Franciszek Piechowiec z Lublina i Czesław Gajewski. Na górnej: ja, Bolek Rysak z Lublina, Janusz Krajewski, również z Lublina, dalej — Staś Dyja (obydwaj są podchorążymi jednego z pułków artylerii). I wreszcie — Andrzej Kozakowski, saper podchorąży. Później przybył dziesiąty — Tytus Szudrawski, technolog. W sąsiedniej sali mieszkał m. in. Henryk Domański, Kazek Rankowski, Stefek Kaczyński. Zaprzyjaźniliśmy się wszyscy podczas podróży do Zaporozia.

Pracujemy w fabryce „Zaporozstal”. Pobudka jest o 6 rano. Następnie, w kolejności baraków, śniadanie we wspólnej stołówce w baraku nr 1. Trwa to wszystko do ósmej. Potem — wymarsz do fabryki pod okiem konwoju wojskowego NKWD. Jesteśmy tutaj bowiem we władaniu i pod opieką władz wojskowych. Z ramienia fabryki jest tylko jakiś komisarz o nazwisku Kononow.

Komendant obozu to sowiecki Ukraińiec, Pietruszyn.

Już od dzisiejszego, wigilijnego poranka czynione są przygotowania do urzędzenia choinki. Znaleźli się dzielni ludzie, którzy, mimo przebywania pod ciągłym nadzorem, sprządzili do baraków drzewko. Prawdziwą świerkową choinkę.

Ćórcze mojej poświęcam

Wszystko przygotowuje się w ścisłej tajemnicy przed „opiekunami”. Zarówno tymi z zewnątrz, jak i z wewnątrz baraku.

Zbiórka chętnych na Pasterkę o godz. 10 wieczorem w baraku nr 3, czyli w naszym.

W sali nr 5 stoi już choinka. Skromnie przybrana. Na tyle, na ile nas było stać. Na wierzchołku — obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Świecidełka. Trochę szychu. Dwie czy trzy banieczki kolorowe i ze cztery świeczki.

Wieczór wigilijny 24 grudnia. Po spożytej w stołówce kolacji i po powrocie do baraków nie wszyscy udają się na spoczynek. Wielu oczekuje na Pasterkę.

Przed godziną dziesiątą skromna sala nr 5 szybko napelniła się wiernymi. Zapelnili się też przyległe sale oraz cały korytarz.

Choinka płonie blaskiem świeczek, ogniki przeglądają się w banieczkach. Wszyscy stoją z odkrytymi głowami. Na dworze mróz i skrzypiący pod nogami śnieg.

Na dany znak ludzie cichną. Z sali nr 5 słychać pieśń wigilijną: „Wśród nocnej ciszy”...

Uroczystością żyje nie tylko nasz obóz. Za parkanem masa ludzi sowieckich. Słuchają koled. Rozpędzają ich „bojcy”.

Bardzo wielu spośród zebranych w baraku nie mogło dojrzeć choinki, bo trudno się było dopchać do „piątki”. Na ogólne życzenie „choinka” została więc wyniesiona na korytarz i umocowana pod sufitem.

Po pierwszej kolędzie poszły następne. Potem — pacierz i litania. Następnie ktoś z tłumu wygłasza wiersz patriotyczny. I zaraz drugi; coś w rodzaju zobowiązania-przysięgi.

Każdy z nas z sercem wypełnionym radością zapomniał na chwilę o swojej sytuacji, przenosząc się myślą do bliskich, którzy przy takiej samej może choince spędzają Święta w okupowanym Kraju.

Nagle wśród śpiewu i modłów słychać gromkie: „Razchadis’ po barakam! Razchadis’!” Tłum — stoi. Krzyk pochodzi z ust „bojców” i politruków. Wpadają do wnętrza baraku. Chcą dostać się do sali nr 5, gdzie już wniesiono z powrotem naszą choinkę.

Słowa politruka o polskim nazwisku Domański, aby usunąć choinkę i wyjść z sali, nie odnoszą skutku. Na korytarzu zrobiło się pusto. Zgromadzeni w innych salach koledzy wyglądają przez uchylone drzwi.

Nikt z obecnych w sali nr 5 nie odważył się podnieść ręki na drzewko błyskające świecielkami, z obrazkiem Matki Boskiej Ostrobramskiej na szczycie.

Wróćcie politruk, sam nie odważywszy się ruszyć drzewka, zwraca się do stojącego obok niego „korpuśnego” Żyda nazwiskiem Szyfman, by ten zabrał choinkę z sali. Szyfman pokręcił głową, pomyślał i... oświadczył, że nie jest w stanie tego uczynić. Po-

litruk zwraca się więc do drugiego „korpuśnego” z baraku nr 1, tow. Jana Tymoszuca (jednego z jeńców, który awansował na to stanowisko). A ten bez namysłu rzuca się na choinkę, chwytając ją wśród krzyków protestu i błękotek i unosi z baraku do komendantury.

Tłum gruchnął do budynku komendantury za choinką. Hałas, krzyk, złorzeczenia rozlegają się po całym obozie.

Po pewnym czasie część tłumu rozeszła się po kwatery. Niektórzy jednak pozostali. Stojąc tłumem przed komendanturą. Może po godzinnym oczekiwaniu choinka wraca na swoje miejsce. Kontynuujemy przerwana Pasterkę.

Okazało się, że wskutek interwencji u komendanta obozu, majora armii sowieckiej, zezwolił on na wydanie choinki z zaznaczeniem, by dalsza uroczystość odbywała się bez większego rozgłosu.

Po skończonej uroczystości postanowiono zebrać się jutro ponownie w tym samym miejscu, na nabożeństwo.

Po całodziennym, po szczególnych wrażeniach dnia dzisiejszego rozchodzimy się po barakach, unosząc ze sobą miłe wrażenia przeżytych chwil, chwil pasterkowych.

W Zaporozu, 26 grudnia 1939 r.

25 grudnia, ranek mroźny, niczym z pozorów nie różniący się od innych, od tych wielu grudniowych ranków, które przeminęły. Pobudka, śniadanie, wymarsz do fabryki...

A jednak wydarzenia tego dnia potoczyły się odmiennie niż zazwyczaj. Okazało się, że na pójście do pracy niewielu jest chętnych. Tłumaczy wszyscy władzom obozowym, że: „U nas siednia bolszaj prazdnik” i dziś do fabryki nie pójdziemy. Niewiele to pomaga. „Dawaj, rabota!”; nietnikajkich prazdnikow!” — krzyczą obozowi dygnitarze. Odeszli, nic nie wskazawszy. Wezwali komendanta obozu.

Na rozkaz komendanta wypędzono nas wszystkich z baraków na dziedziniec. Obozowa starszyna w przyjaznych słowach usiłuje nakłonić ludzi do pójścia do pracy. To także niewiele pomaga. (Tych, którzy wyrazili chęć pójścia do pracy, wypuszczono za bramę).

Wobec groźnej postawy pozostałego na placu tłumu władze obozowe postanowiły wziąć nas szturmem. Ale przedtem jeszcze jedna próba. „Stanowis’ po czetyrech!” — pada komenda. Lecz i ten manewr nie pomógł; w sformowanym szyku czwórkowym wyszło z placu niewielu. Zdecydowano się wobec tego na atak. Wezwano uzbrojonych „bojców”, by gwałtem, pod groźbą karabinów i kul, wypchnęli nas za bramę.

Stoiemy nadal bez najmniejszego ruchu. Nagle rozlegają się wystrzały. Zaczyna się szamotanina „bojców” z naszymi ludźmi. To ci stojący bliżej bramy nie pozwalają się wyrzucić na zewnątrz. Hałas, krzyk. „Bojcy” biją kolbami. Z naszej strony — wrogle okrzyki: „Nie biej! Nie biej!” Rozwścieczeni „bojcy” coraz mocniej atakują stojący tłum.

W pewnej chwili słychać głos jednego z naszych: „Iść na pracę, ale nie pracować!” Zakolysało się w tłumie. Poprzedni upór — jak ręką odjął. Ruszyliśmy spokojnie ku bramie.

Kiedy tak szliśmy, padło następne wezwanie: „Zmieniać miejsca pracy!” Zrozumieliśmy w lot. Stawimy się w fabryce, ale... na innych odcinkach niż dotychczas. Nasza praca będzie tylko symboliczna. Bez przerzucenia choćby jednej łopaty gruzu. Bez spędzenia choćby jednej godziny przy swoim warsztacie. I tak się stało. Ci, co pracowali przy warsztatach, poszli do ziemni lub rudy, a ci od rudy — stanęli przy maszynach. Wyniki naszej pracy w tym dniu były żadne.

Tymczasem w obozie jeszcze przez szereg godzin trwały poszukiwania tych, którzy poukrywali się w barakach. A zamieszanie potęgowało się, bo nie potrafiono ich odróżnić od tych, którzy powrócili do obozu po normalnie przepracowanej nocnej zmianie i teraz wycpoczywali.

Rozeszli się wreszcie nasi obozowi dygnitarze, wydziewając i... podziwiając postawę i karność naszego tłumu.

A wracając jeszcze do fabryki... Otóż po wejściu na jej teren wielu naszych po prostu uciekło do miasta, przeskaka-

kując przez mury i parkany. Ci, co nie zdołali tego zrobić, stoją oparci o kilof lub łopatę, a zaciśnięte usta szepczą: „Ani jednej łopaty ziemi, ani jednej grudy węgla w dniu dzisiejszym!”

Na dworze zimno. Chłodny wiatr smaga po twarzach. Brak ruchu, więc zifito dokucza tym bardziej. Naokoło — wyjątkowo dużo dozoruujących i popędzających: „Dawaj, rabota!” Nie pozwalają skorzystać z normalnej, codziennej przerwy obiadowej. „I tak szczewo nie zarabotali siednia!” — powiada stojący nad nami dozorca.

Dzionek zbliża się ku końcowi. „Gudok”, fabryczny sygnał, obwieszcza koniec zmiany. Następnego dnia, 26 grudnia, będzie podobnie. Z tym samym uporem, nie złamani, twarzą stać będziemy na tym, że nie ma pracy w dniach Bożego Narodzenia.

I istotnie, drugi dzień Świąt podobny był do pierwszego. Z tą różnicą, że dziś chętnych do pracy trochę więcej niż wczoraj.

Uplłynął okres świąteczny Bożego Narodzenia. Na dzień Nowego Roku wydział kultury komunistycznej zapowiedział odczyt bezbożniczy na temat: „Święta Bożego Narodzenia”.

Zaporozie [bez daty]

Uspokoili się podniecone umysły po Świętach. Uspokoili się jednak tylko pozornie, bo od tej pory coraz więcej kolegów pozostawało w barakach, bojkotując wyjście do pracy.

Rozpoczęły się represje. Utworzono wewnątrz obozu tzw. „baraki karne”. Wtrącano do nich tych, którzy oficjalnie odmawiali pracy. Początkowo sądzono że będzie takich niewielu. A tymczasem komendantura musiała wkrótce powiększyć miejsce izolacyjne o dwa kolejne baraki. Ogółem przebywało w „karnych barakach” około 600 ludzi. Scisk był ogromny, toteż wybudowano czteropiętrowe przyce. Były wypadki, że gnieźdzono się nawet pod przyczami.

Życie w „baraku karnym” różniło się tym, że jego mieszkańcy mieli tzw. „karny kocioł”. Mniejsza ilość chleba i ciepłej strawy. Stan taki miał trwać przez wiele następnych miesięcy.

Utworzenie „baraków karnych” poprzedzone było jedenastodniową głodówką niemal wszystkich mieszkańców obozu. Na miejsce zjechała z Moskwy komisja śledcza i lekarska. Bardziej wycieńczonych zabrano do więzienia, gdzie poddano ich sztucznemu odżywianiu.

Kolegom przebywającym w „karnych barakach” usilowano podawać z zewnątrz chleb. Strażnik stojący na „wyżce” groził w takim przypadku użyciem broni. Czasem udawało się jednak przemyścić chleb podczas rozmowy — poprzez płot. Byłem kilka razy przy tym płocie i widziałem się z Frankiem Iską z Grabówki, przebywającym za drutami.

W „karnych barakach” nie doręczano ludziom nadeszłej z kraju korespondencji. Były jednak wypadki, że koledzy przez znajomość odbierali tę pocztę i listy zostawały ostatecznie doręczone.

Zaloga dostarczająca żywność do kuchni obozowej składała się w znacznej części z Polaków, którzy byli przeważnie kierowcami. To właśnie oni nabywali, od czasu do czasu, w mieście chleb i papierosy dla tych, co przebywali za drutami. Kupowano też dla nich konfitury brzoskwińowe, które można było dostać na wolnym rynku.

Ponieważ ludzie w „karnych barakach” trwali niezłomnie w postanowieniu niewychodzenia do pracy, komendantura obozu starała się wpłynąć na zmianę tej decyzji w różny sposób. Na przykład — wydając lepszą niż dotąd strawę tym, którzy pracowali. I zapewniając, że takie same posiłki otrzymają ci, którzy pracę podejmą. Nie odniosło to jednak skutku. Mimo że w stołówce pojawiały się w tym czasie nawet prawdziwe kotlety mięsne. Te właśnie kotlety, wobec nieprzyjmowania ich przez kolegów solidaryzujących się z tymi z „karnych baraków”, służba kuchenna wywalala później na śmietnik. Po jakimś czasie zaniechano tej metody i do stołówki powrócił stary jadłospis.

Po okresie głodówki barak nr 5 przeznaczono dla rekonwalescentów. Dostałem się tam po powrocie ze szpitala po dwukrotnym zapaleniu płuc.

(Koniec odcinka 5: — c.d.n.)

Podał do druku i opracował: **Mirosław Derecki**

„PRZYKRO GINAĆ OD SWOICH, JA SYN PROLETARIUSZA I SAM PROLETARIUSZ”

6 MARCA 1989 roku Izba Wojskowa Sądu Najwyższego, po rozpoznaniu w dniu 3 marca w Warszawie sprawy podpułkownika Edwarda Jasińskiego ps. „Nurt”, byłego inspektora Inspektoratu Lubelskiego AK, skazanego wyrokiem Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie z dnia 7 marca 1945 roku na karę śmierci, wydała postanowienie o „wznowieniu postępowania i umorzeniu postępowania w sprawie”. Ta skomplikowana konstrukcja prawna oznacza, że gdyby dziś toczyła się rozprawa z 1945 roku, nie znalazłoby podstaw do wymierzenia kary oskarżonemu. Jest to bezprecedensowy wyrok, stwarzający możliwość wystąpienia o rehabilitację ppłk. „Nurta”, a także setek jego kolegów z AK. Oznacza, że nie było przedmiotu sprawy.

AK „Nurt” nie wiedział, co robić, wysłał łącznika do „Marcina” i mimo braku jego zgody, zamierzał przedrzeć się w lasy kozłowieckie i ordynacji Zamojskich. [...] Jednakże z tego zrezygnował i postanowił wydać rozkaz rozwiązania oddziału”.

Oczekiwał porozumienia rządu londyńskiego z PKWN. Z przekonania lewicowiec i ludowiec, liczył, że jest cmo możliwe. Był zwolennikiem, pomimo złych doświadczeń, współdziałania z Armią Czerwoną. Latem 1944 roku podtrzymywał kontakty z podległymi i sąsiadującymi oddziałami w celu rozwiązania Armii Krajowej, zgodnie z rozkazami władz. 10 października 1944 roku został aresztowany w Lublinie i osadzony najpierw „Pod Zegarem”, a następnie na Zam-

nie uczynił zadość publicznemu wezwaniu do tej służby w terminie oznaczonym dekretem PKWN”.

Oskarżonego uznano winnym tych zarzutów i na mocy art. 1 Dekretu o ochronie Państwa z 30 X 1944 r. skazano na karę śmierci, utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze. Wyrok był ostateczny i nie podlegał zaskarżeniu. Po sześciu dniach zatwierdził go Naczelny Dowódca WP — generał broni, Michał Rola-Zymierski...

Przyjrzyjmy się niektórym elementom tej, w pełnym tego słowa znaczeniu, rozprawy. Po pierwsze: nie mogli, jako ławnicy, w procesie podpułkownika występować niżsi stopniem, nie mówiąc już o podoficerach.

Agent krakowskiego gestapo, Henryk Kopel, skazany został przez polski sąd na karę śmierci. Zamieniono ją na dożywocie, amnestionowano więźnia po czterech latach. W końcu lat czterdziestych wyjechał do Niemiec...

Po 43. latach od wyroku i egzekucji wdowa po skazanym — pani Irma Jasińska (żołnierz AK ps. „Irma”) — wniosła za pośrednictwem adwokata lubelskiego, mec. Mariana Rejniewicza, sprawę o wznowienie postępowania do Izby Wojskowej Sądu Najwyższego. Rozprawa — jak wspominałem — odbyła się w Warszawie 3 marca 1989 roku. W składzie orzekającym zasiadli tym razem sami pułkownicy. Był prokurator i obrońca. Była rzetelna znajomość ówczesnego prawa i etyczna postawa kompletu orzekającego. O wyroku, jaki zapadł, napisałem na wstępie. Co oznacza on dla ppłk. Jasińskiego — „Nurta” i cieni jego kolegów? Dla niego samego oznaczałby satysfakcję bezpośrednią, dla tylu innych pośrednią, gdyby tyłl. Tę satysfakcję moralną, której bardzo pragnął w lubelskim więzieniu.

14 grudnia 1944 roku, w obliczu przewidywanej śmierci, podpułkownik Jasiński napisał pożegnalny list do żony. List ten cytujemy w całości i niech pozostanie on pożegnaniem z „Nurtem”.

14 XII 1944 r.
Najukochańsza i Najdroższa mi Dziewczyno — Zono — Największy i Najlepszy Mój Przyjacielu — Skarbie mój Najwartościwszy.

Irma! Najdroższa i Najlepsza, co za straszne przejścia przechodziłem po naszym pożegnaniu się 17 VII 44. Przejścia tym bardziej tragiczne, że nie wiem co z Tobą Najukochańsza. Pozostałem list dla Ciebie u Pani Ry. jednak przy rewizji mieszkań, został on oddany wraz z pieniędzmi. Piszę z więzienia w którym jestem od 16 X wprost w strasznych warunkach, zwłaszcza między 16 X a 23 XI. Jaka moja przyszłość czy dożyję aby jeszcze Tobą radować się, aby... Ci udowodnić jak bardzo najgłębiej najuczciwiej Cię ukochałem, jak doceniał Cię Najlepsza, aby zacząć tym piękniejsze życie z Tobą Ukochana. Może Bóg ocali mnie, o co Go proszę dla Ciebie i siebie. Modlę się gorąco za uchwycenie mi Ciebie także. I tak spełnia się przepowiednia wróżki z Wisły, ale nie sądziłem nigdy, aby to było tak makabryczne. Gdybyśmy mieli nie widzieć się już Najdroższa, chcę Ci dać parę rad na dalsze życie. Nie rozpaczaj, pogódź się z tym że widocznie taki los mi był podany i trzeba było zrobić miejsce innym, choć byłoby mi niepomniernie przykro, ginać od swoich, ja syn proletariusza i sam proletariusz. Bądź silną i mądrą — nie daj się gwałtownym ludzi! Żądaj rekompensaty materialnej i moralnej za moją 5-letnią pracę dla Polski. Awansowałem 1 XI 1943. Bądź dla zycielich i macielich dobrą dla innych trzymaj się w rezerwie. Za cudne nasze życie dziękuję Ci najpiękniej i z głębi duszy. Jeśli czym zawiniłem względem Ciebie, to odpokutowałem z nawiązką w ostatnich miesiącach. Pamiętaj doceniać się i jeśli byś miała wiazać się z innym człowiekiem, to przynajmniej, aby miał walory i ewent. wady moje. Gdybyś sama miała żyć, to weź Dziecino na wychowanie jakiegoś dziecka, który Ci dopełni życia. Nie poniechaj malowania. Z rodziną Twoją jak i moją staraj się żyć w zgodzie, naturalnie jeśli to będzie możliwe. Kocham Cię najuczciwiej i najwierniej Jedyna Najdroższa mi na świecie Istoto, tęsknię ogromnie i za Tobą Wszystko co Twoje Najlepsza. Twój zawsze ten sam Ed.

P.S. Gdybyś znalazła się na terenie Lublina i była bez pieniędzy to 1. szukaj Wł. Swiechowskiego, Częstochowska 1 i p. który Ci umożliwi otrzymanie forsy, żądaj bez skrupowania, Wł. Swiech, znasz z Modlina. 2. Moje rzeczy są u p. Rybickiej u P. Jądwięgi (Cicha 5) trochę i pani Zofii Kiel. i u P. Apanasiewiczowej Ponutowskiego 14 m. 2 to nie ta z Narutowicza. 3) Gdybyś nie mogła odnaleźć Wł. Swiech, to Pani Zofia wie gdzie mieszka Fran. który ci przyjdzie z pomocą.

ZWRÓCIĆ ŻYCIE...

Leszek Wiśniewski

Ale sprawa była: 15 marca 1945 roku ppłk Jasiński ps. „Nurt” został na lubelskim Zamku rozstrzelany w całym majestacie ówczesnego prawa. Tę haniebną sprawę przypomnijmy...

Edward Jasiński urodził się 28 czerwca 1897 roku w Kątach koło Wadowic. Po ukończeniu gimnazjum wstąpił do Wojska Polskiego i pod komendą generała Józefa Hallera odbył kampanię 1920 roku, z której wyniósł Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Walecznych i Virtuti Militari V kl. oraz decyzję o kontynuowaniu kariery wojskowej. Po wojnie polsko-radzieckiej służył w jednostkach Straży Granicznej oraz KOP, a następnie jako kapitan i major w 20 pp w Złoczowie, w 32 pp w Działdowie i w jednostkach fortecznych w Modlinie. Kampanię wrześniową odbył właśnie w obronie twierdzy modlińskiej i tam dostał się do niewoli niemieckiej. Z niewoli uciekł, szybko nawiązując kontakt z konspiracyjnym Związkiem Walki Zbrojnej, późniejszą AK.

Zakonspirowany w Krakowie, pełnił funkcję komendanta jednej z dzielnic, należą do wybitniejszych dowódców Okręgu Krakowskiego AK. Jego bliskim współpracownikiem jest w tym czasie Henryk Kopel, jak się później okazuje — agent gestapo. Na skutek „działalności” Kopia Niemcy dokonują licznych aresztowań, wpada w ich ręce m.in. cały niemal sztab Okręgu AK (o szubrawcu nazwiskiem Kopel wspomnę jeszcze nieco później). Majorowi „Nurtowi” udaje się szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknąć wpadki. Wyjeżdża do Warszawy, a następnie — w 1943 r. — zostaje skierowany do Lublina.

Tu obejmuje najpierw stanowisko komendanta Wojskowej Służby Ochrony Powstania, a później inspektora Inspektoratu Rejonu Puławskiego; już jako podpułkownik i z kolejnym, tym razem IV klasy, Krzyżem Virtuti Militari. Od stycznia 1944 do października 1944 pełni funkcję inspektora Inspektoratu Lubelskiego AK, któremu podlega działalność konspiracyjna na terenie powiatów: kraśnickiego, puławskiego, lubelskiego i lubartowskiego. Jest jednym z najbliższych współpracowników płk. Tumidajskiego — „Marcina” — komendanta Okręgu Lubelskiego AK; jest organizatorem dywersji i oddziałów zbrojnych, autorem koncepcji scaleniowej z BCH na swoim terenie.

Postać ppłk. Jasińskiego — „Nurta” tak wspomina jego ówczesny adiutant Franciszek Rzączyński — „Tomasz” (relacja spisana przez Ireneusza Cabana 4 marca 1987 roku): „Był typowym zawodowym oficerem. [...] Surowy dla podwładnych. Obowiązkowy i rygorystyczny. [...] W okresie »Bury«, po rozbrojeniu 27 Wolyńskiej DP

ku. Katowany i maltretowany psychicznie, nie przyznał się do przedstawionych zarzutów z wyjątkiem jednego — przynależności do Armii Krajowej. Nie rzucił podejrzeń na innych, zachował godną postawę do końca.

7 marca 1945 roku na Zamku odbyło się posiedzenie Wojskowego Sądu Okręgowego w Lublinie, w składzie: ppor. Bazyli Szporluk — przewodniczący, ppor. Wincenty Okupki, sierż. Dymitr Olejkow — ławnicy. Bez udziału obrońcy i prokuratora. Rozprawa trwała od godz. 11.00 do 12.45 i zakończyła się oczywiście wydaniem wyroku skazującego. Zacytujmy fragment tego „dokumentu”:

„W czasie przewodu sądowego ustalono, że oskarżony Jasiński Edward, syn Jana, nie zważając na to, że organizacja AK, mająca na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego [sic!], została dekretem PKWN rozwiązana, należał do tej organizacji w charakterze czynnego i wybitnego członka, będąc na stanowisku inspektora okręgu pod pseudonimem »Nurt«, że do dnia 16.X.1944 r. kontaktował się z wybitnymi i aktywnymi członkami AK: »Wirem«, »Ziukiem«, »Jedrusem«, »Protą«, »Kazimierzem«, »Leliwą«, »Kmicicem« i innymi, przy czym omawiano różne sprawy organizacyjne AK, awansów i odznaczeń, że wpłacał różne kwoty na cele organizacji AK, [...] że będąc obowiązany do służby wojskowej jako podpułkownik WP rocznika 1897,

Być może dlatego właśnie „Nurt” występuje raz jako podporucznik (w nagłówku wyroku), a raz jako podpułkownik — wtedy, kiedy mowa o jego uchyleniu się od służby wojskowej.

Po wtóre, oba dekryty PKWN, na których podstawie sformułowano zarzuty, wydane zostały już po aresztowaniu ppłk. Jasińskiego. Dekret o ochronie Państwa — 30 października 1944 r., Dekret o obowiązku wojskowym oficerów AK — 3 listopada tegoż roku. Jak zatem mógł oskarżony łamać nie istniejące przepisy prawne? Artykuł 117 Kodeksu Karnego Wojska Polskiego (przedwojenny), z którego wytoczono ppłk. Jasińskiemu zarzut dezercji, był jedynym obiektywnie istniejącym ówcześnie aktem prawnym ze wszystkich cytowanych na rozprawie. Interesujące jest jednak, że tylko ten artykuł z całego kodeksu znalazł w tym procesie zastosowanie. Widać, tyle było potrzeba...

Wreszcie: zarzut przynależności do organizacji mającej „na celu obalenie demokratycznego ustroju Państwa Polskiego”. Pomijam już fakt, że przez lata istnienia „walki” AK nie było nie tylko żadnego ustroju, ale przecież nawet polskiego państwa. Okres lipiec—październik 1944 pozostawiam, dziś, bez komentarza...

15 marca 1945 roku o godzinie 11.20 w jednej z cel Zamku w Lublinie wykonano wyrok śmierci na ppłk. Edwarda Jasińskiego ps. „Nurt”



CESTRALNE WIEZIENIE
LUBLINIE

INSTRUKCJE I PISMA OKOLNE

DATY SKRAJWE,
ROK 1954, 1955.
LICZBA KART: 219.

Fot. Waldemar Stępień

POLSKA NORMA

NIE WYSTARCZY BYĆ

Waldemar Piasecki

TELEWIZJA pokazała ostatnio film Ashby'ego „Wystarczy być”, będący ekranizacją książki Jerzego Kosinińskiego „Being There”. Kosiniński napisał zresztą do filmu scenariusz i aktywnie uczestniczył w jego realizacji. Nim się obraz ten ukazał na ekranach kin przed dwoma laty, na pisarza wyłano w Polsce kubły pompy fekalii. Chodziło niektórym recenzentom jego twórczości i życia o to, że Kosiniński stworzył postać ogrodnika Gardnera (Ogrodnika) w oparciu o lekturę „Nikodema Dyzmy” Dolgi-Mostowicza. Czyli, że po prostu popełnił plagiat. Ponieważ książka nie została przetłumaczona na polski (ma się ukazać w tym roku), a nie każdy ma znajomego anglistę-bibliofila, który mógłby opowiedzieć fabułę, weiskano publice, że Kosiniński to nie tylko sprzedawczyk i zaprzaniec szkalujący Polaków, ale także zwyczajny złodziej-plagiator.

Obejrzenie filmu w TVP rozwiewa wszelkie wątpliwości, a jeżeli je ktoś jeszcze ma, powinien udać się na leżenie. Czego życze, na przykład, panu doktorowi stomatologowi, który w „Polityce” brednie o „zaprzaniu” itd. podtrzymywał. Ashby i Kosiniński pokazali nam dzieło wysmakowane, ascetyczne i kameralne, a Peter Sellers uraczył nas koncertem gry dawno nie widzianym w telewizorze. Zagrał Ogrodnika jak — czy ja wiem — Rubinstein — Chopina, albo Boniek przeciwko Belgii w osiemdziesiątym drugim-

Całe podobieństwo Dyzmy i Ogrodnika zaczyna się i kończy na tym, że obaj byli brani za kogoś innego, niż byli. Jeżeli na tym polega plagiat, to proces rozliczeń w literaturze powinien objąć kilkuset autorów, z Dolgą-Mostowiczem, niestety, również w tym gronie złodziejskim. Powinien odpowiadać za plagiat choćby dzieła „Z chłopca król”. O ile Dyzma był zimnym skurwysynem, nastawionym na zdobycie wszystkiego, co mu się nawinęło: forsy, władzy, kobiety, o tyle Ogrodnik na nie się nie nastawiał, może poza nastawieniem telewizora, na który z kilkunastu programów. Rzecz o Dyzmie była opowieścią o prowincjonalnym gazetkarzu, który robi (zresztą do czasu) idiotów z ludzi tzw. sfer, a story o Ogrodniku — przypomnienie, jak socjeta sama z siebie robiła pajaców, a on tylko był. Wystarczyło. Był tak niezwykły i nadrealny i tak bardzo wszystkim potrzebny, że nie dziwiło nic. Nawet, gdy w finale przechadzał się po wodzie.

Zastanawiam się, czy sytuacja Ogrodnika byłaby możliwa w naszych aktualnych polskich realiach. Powiedźmy, że jest bogaty Stary Człowiek, który ma rezydencję w ogrodniku Ogrodnika. To akurat nie jest trudne do wyobrażenia. Sam znam kilka osób zatrudniających w swych dobrach o-

grodników. Powiedzmy, że Stary Człowiek umiera, a testament nie daje ogrodnikowi żadnych szans. On, wychodzący wraz z modrzewiami, różami i żonkilami, człowiek znikąd, człowiek-jemiola, nagle musi się udać w nieznaną świat. Pardon: znany tylko z Telewizji Polskiej. Ona go formowała od mniej więcej 1960 do 1989 roku, a etapami tej drogi były zmieniające się odbiorniki telewizyjne (od „Wisły” do pewexowskiego „Sony”) oraz ekipy kierownicze wraz z ich twórczością, obserwowaną na szklanych ekranach.

Wyrastał więc nasz Ogrodnik w oslepiającym blasku płynącej z hutniczych pieców surówki, w trzasku butelek szampa, rozbijających się o burty wodowanych statków, w świergocie dzwonów szkół-tysiąclatek, w pohukiwaniu na tysięcni Kościół, w jazgocie szczydzenia z narodu, który dwa tysiące lat przetrwał bez państwa, w radosnym poszczekiwanii Szarika na swoją żalę, w huku eksplozji znaczących szlak bojowy kapitana Hansa Klossa, zaprowadzającego nowy ład w stosunkach polsko-niemieckich, w euforii po podpisaniu układu sankcjonującego ten ład, w robotniczym gniewie, który nie okazał się chuligańskim wybrykiem, w swojskim: „Pomożecie? Pomożemy!” i oklaskach spracowanych robotniczych dłoni dla nowego przywódcy, w czasach dziewięciu gatunków austriackiej musztardy na półkach polskich sklepów, dziesiątej potęgi gospodarczej w rocznikach GUS, szaleństwie po sukcesach piłkarzy Kazia Górskiego, w zachwycie nad polskim telewizorem kolorowym na francuskiej licencji, polskim pojazdem udającym włoskiego fiata, Polską barwną, wypełnioną sukcesami i ludźmi sukcesu oraz telewizją ulubienią katowickiego przywódcy (ze szwanoparadami redaktorów Pacha i Mikołajczyka), z bardzo niezbędnymi zwycięstwami Szurkowskiego, z odpowiedzialnymi zajściami w Radomiu, z liberalnie tolerowanym KOR-em, tym luksusem, na jaki może sobie pozwolić silna władza, z podniosłym wrzeszeniem po wyniesieniu Polaka na Stolicę Piotrową, z nagłym zaskoczeniem Gdańska, który wymusił porozumienie rządu z elektrykiem Stępczyńskim, z eufonią nadziei niesionej przez „Solidarność”, z dniem, w którym przestał działać telewizor, bo nie było programu, ze stanem wojennym, z propagandą reformy gospodarczej, która przyniosła głównie inflację, z powolnym wychodzeniem z izolacji, z Gorbaczowem, który dał nadzieję także Polakom, z długą lekcją demokracji zakończoną „okrągłym stołem”...

Zalóżmy, że tak ukształtowany Ogrodnik znajduje się nagle na ulicach Warszawy i ma funkcjonować. Tam zostaje potrącony przez eleganckie auto i z lekką kontuzją zabrany do posia-

dłości na czas leczenia. Znajduje się w wielkim świecie, który jest go ciekaw i życzliwie ciekawością posiadaczy władzy. Ogrodnik zaczyna rozmawiać z tym światem językiem telewizora i kolejnych ekip Radiokomitetu. Mówi, lecz nie jest rozumiany, bo jego trzydzieści lat w szklanym, telewizyjnym świecie jawi mu się jako całość zwarta i logiczna: po czasach taniej kiełbasy i odgrozdzenia od Europy musi, co normalne, przejść czas drogiej licencji i kredytów oraz otworzyć na świat, za które przyjdzie zapłacić drogą kiełbasą i izolacją od tego świata, żeby potem można było dostać nowe kredyty (po uwiarygodnieniu się i zdobyciu żyran-tów), kredyty na już nawet nie tyle relatywne potaniecie kiełbasy, co na w ogóle utrzymanie się na powierzchni.

Takiej logiki Ogrodnika nie przyjmie nikt, bo czasy są „obiektywnie” inne, niż były przed dziesięciu laty, a niekiedy nawet — przed pół rokiem. Taka, na przykład, prywatna osoba z Gdańska zupełnie, ale to zupełnie taka sama, jak trzydziestoletnią parę milionów szarych zjadaczy chleba (o czym notorycznie zapewniali rzecznik), nagle okazuje się jakby nieco odmienna. Zapraszają ją do stołu obrad, a „Szpilki” pokazują na pierwszej stronie pod rękę z przewodniczącym Rady Państwa i w ślubnym welonie. Dlaczego tak? Bo „obiektywna” rzeczywistość jest już inna niż w lecie '88. Proste? Proste. I nie będzie nam tu żaden Ogrodnik lansował koncepcji, że elektryk ze stoczni zrobił strajk po to, aby potem powstała organizacja związkowa (jak się ckaże — niesłuszna). Powstała po to, aby potem powstał stan wojenny, który następnie został odwołany po to, aby powstała nowa organizacja związkowa, a ta po to, aby ta poprzednia organizacja została stworzona jeszcze raz na nowo, co poprzedza stół narodowy.

Tak gadającego Ogrodnika nikt nie posłucha. Nie mówiąc już o robieniu przez niego kariery politycznej. No bo jak by on mógł zrobić karierę, gdyby na pytanie o kredyty odpowiedział słowami klasyka: „Żadne takie. Nie będzie nam kapitalista gmerał w portfelu! Jak się nie ma pieniędzy, to pisać ołówkami, a nie długopisami z wkładem „Wizowym”. Albo w jakiejś poważnej dyskusji o reformie gospodarczej rzucił mimochodem: „Polak potrafi” (z innego klasyka), kiedy akurat wiadomo, że nie potrafi. Bez nowych kredytów i nie dlatego, że leń.

Polski Ogrodnik po pierwszych dwóch występach zostałby wykopany z salonów na bruk, a stamtąd trafiłby niechybnie do domu wariatów. Jedyne miejsca, gdzie mógłby znaleźć wdzięcznych słuchaczy i dyskutantów, Ogrodnika Kosinińskiego wykreował spójny i niezmienny system o stałych parametrach sytuacyjnych. Dlatego mógł dokonać przeniesienia swego świata telewizyjnego na ten realny. Polski Ogrodnik, urobiony przez naszą telewizję, ze swoim światem nie nadawałby się do niczego. A już na pewno nie do zastosowania swego świata do tego „obiektywnego”. Naszego. Zmiennego, płynnego, dialektycznie pulsującego sprzecznościami. Które z kolei — to są robotą wadomych sił, to znów niesprawdzeniem się naszej bajki.

Dlatego, nie ma u nas miejsca dla Ogrodników. U nas nie wystarczy być. Zapamiętajcie, Kosiniński!

MISTRZOSTWA POLSKI W REPORTAŻU PO RAZ DZIEWIĄTY

„BRZASK I ZMIERZCH” HASŁEM KOLEJNEJ EDYCJI KONKURSU IM. A. POLEWKI

„Gazeta Krakowska” ogłosiła otwarcie konkursu im. Adama Polewki. Dla środowiska dziennikarskiego sprawa nie wymaga szerszej rekomendacji. Jest to najbardziej prestiżowy konkurs na reportaże, określane może nieco przesadnie „polskim Pulitzerem”. Tegoroczna edycja nosi hasło „Brzask i zmierzch” i w zamiarze organizatorów ma służyć oddaniu wizerunku czasu, w jakim żyjemy, a przede wszystkim jego niepowtarzalności. Rodzą się oto rozwiązania naszych polskich spraw, mogące trwale rzutować na nasze polskie losy tu i w świecie. Równocześnie następuje rozstanie z reliktną przeszłością, które to nowe hamują, ograniczają, tłumaczą. Z tymi „objawami” należy się beceremonialnie rozstać, pisać o nich.

Tradycyjnie już zapewniłono godne nagrody. Pierwsza wynosi 150 tysięcy zł, specjalna — 125 tysięcy, a trzy drugie — po 100 tys. zł. Ogółem przeznaczono na nagrody 1 mln zł.

Konkurs ma charakter otwarty, może nań nadesłać swoje prace każdy, a ich objętość nie jest ograniczona. Reportaże należy nadsyłać w trzech egzemplarzach znormalizowanego maszynopisu do redakcji „Gazety Krakowskiej” (Wielopole 1, Kraków) z dopiskiem na kopercie „Konkurs im. A. Polewki” — do 10 maja br.

Informujemy również, że w jury konkursu zasiadają fachowcy tej klasy co: Artur Howzan, Sławomir Tabkowski, Andrzej Kurz, Krystyna Goldbergowa i inni. (wjp)

INFORMATOR
KULTURALNY

TEATR

W LUBLINIE
Teatr im. J. Osterwy:

16.03—19.03 godz. 19: „Portret” Sławomira Mroźka; reż: Jacek Andrucki.
16.03—18.03 godz. 16 (scena Reduta): „Poobiednie Igraszki” Romy Mahieu.

Teatr Lalki i Aktora:

16.03—17.03 godz. 10, 12; 18.03—19.03 godz. 12: „Dziewczynka z ryżowych pól” Anny Świrszczyńskiej; reż. Tomasz Jaworski.

Teatr Muzyczny:

18.03, 20.03 godz. 18 (Dom Kultury LSM ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę”, „Salon pana Wzdęckiego” Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

Lubelski Dom Kultury ul. Pstrowskiego 12

17.03 godz. 17, 19.30 — spektakl pt. „Obład” w wykonaniu Teatru Pracownia.
18.03—19.03 — przegląd młodzieżowych zespołów teatralnych.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

20.03 godz. 17 (MDK): spektakl pt. „Raj eskimosów” Bogusława Schaeffera w wykonaniu Grażyny Jakubeckiej i Jana Wojciecha Krzyszczyka.

W CHELMIE

16.03—18.03 (WDK): przegląd kabaretów wiejskich.
17.03 godz. 14: spektakl pt. „Pani Gabriela” w wykonaniu Zofii Saretok i Wacława Szklarskiego.

MUZYKA

W LUBLINIE

Filharmonia: 17.03 godz. 19, 18.03 godz. 18: koncert symfoniczny. Orkiestra PFL dyryguje Jerzy Katlewicz. Solistka — Ewa Osńska. W programie: G. Rossini — Uwertura do opery „Włoszka w Algierze”, R. Schumann — Koncert fortepianowy a-moll op. 54, L. van Beethoven — V Symfonia c-moll op. 67.
21.03 godz. 19: „Wieczór sonat”. Wystąpią: Bohdan Giergier — skrzypce, Teresa Ksińska — fortepian. W programie: sonaty Beethovena (op. 12 nr 1, op. 24 nr 5 — „Włoszka”), J. M. Leclaira (op. 9 nr 3), G. Tartiniego („Tryl diabelski”).

W PUŁAWACH

19.03 godz. 17 (Pałac Czartoryskich) — koncert z cyklu „Gwiazdozbiór muzyczny”. Udział biorą: Zdzisława Donat — sopran, Helena Christienko — fortepian, Edward Wolanin — fortepian.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988”.
Muzeum Wincentego Pola — wystawa pt. „Amor Patriae Nostra Lex — z Sieclina Krasiecy herbu Rogala”.
Muzeum Wsi Lubelskiej (gościennie w siedzibie „Desy” Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć”.
Muzeum im. J. Czechowicza — wystawa prac nagrodzonych w konkursie plastycznym.
Galeria „Labirynt” (ul. Grodzka 3) — wystawa rzeźby Mirosława Balki pt. „Rzeka” (czynna do 24.03).
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa Zbigniewa Libery i Jerzego Truskowskiego.
Galeria „Pod Akacją” — wystawa grafik Kazimierza Łońskiego (czynna do 20.03).
Galeria Biała (LDK ul. Pstrowskiego 12) — wystawa Paula Sochackiego pt. „Kiedy fotografia przenosiła się w malarstwo” (czynna do 20.03) — wystawa prac z cyklu „Dokumentacje” — Dariusza Lipskiego (czynna do 25.03).
Galeria „Kont” (ul. Zana 11) — wystawa rysunku Roberta Lemke.
Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.
WDK (ul. Podgrodzie 3) — plenenerowa wystawa fotograficzna pt. „Pejzaż zimowy — Sobieszyn '88” (czynna do 17.03).
Filharmonia (foyer) — wystawa fotografii Ryszarda Karczmarskiego (czynna do 20.03) — 20.03 otwarcie wystawy malarstwa Zygmunta Bobolowicza.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — wystawa pt. „Maciej Rataj” (czynna do 27.03).
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa ilustracji książkowej Janusza Towpika.

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM

Galeria „F” — wystawa malarstwa i rysunku Grażyny Jezerskiej.

W CHELMIE

KMPiK — wystawa malarstwa Stanisława Miszczyka (czynna do 22.03).
WDK (sala lustrzana, kawiarnia) — wystawa plenenerowa malarstwa i fotografii Ogólnopolskich Warsztatów Plastycznych — Fotograficznych.

W ZAMOŚCIU

Arsenal (ul. Zamkowa 2) — wystawa pt. „Pocztówka zamowska”.
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa grafiki i ekslibrisu.
BWA — wystawa tkaniny Wojciecha Sadleja (czynna do 24.03).

ROZRYWKI

17.03 godz. 17, 19.30 Pałacowa (klub sportowa): recital Andrzeja Rosiewicza.

OGŁOSZENIE

MATRYMONIALNE

Jaga — Korespondencyjne Biuro Matrymonialne, 20-001 Lublin 1, skrytka pocztowa 382. 4512/G-3

TV

Czwartek — 16 marca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Spróbuj... potrafiś!
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.20 „Osmiornica” (1) — serial sensacyjny prod. wł.
10.25 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Telewizyjny informator wydawniczy
16.25 Dla młodych widzów: Kwant a w nim „Edisonowie” (8) — serial prod. ang.
17.15 Teleexpress
17.30 General Walter Janke — wojskowy program historyczny
17.55 Telewizyjny film dokumentalny: „Kurs na Gwiazdę Poranną”
18.20 Sonda: Droga mleczna. Nowoczesne metody hodowli krów
18.50 Dobranoc: Pająk Chwał, wszystkich brat!
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 „Osmiornica” (1) — serial sensacyjny prod. wł.
21.15 Program publicystyczny
21.45 Pegaz — magazyn aktualności kulturalnych
22.15 Studio sport: Mistrzostwa Świata w jeździe figuralnej na lodzie — Paryż '89 (program dowolny męczyzn)
23.00 Dt — echa dnia
23.15 Jutro w programie
23.20 — 23.50 Język francuski (20)

PROGRAM II

16.55 Język francuski (20)
17.25 Program dnia
17.30 Do szkoły pod górę
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102”
19.00 Muppet show, czyli rewią gwiazd: Jaye P. Morgan
19.30 Puls — program medyczny
20.00 Za kulisami: „Me and my girl” — reportaż z Teatru Muzycznego w Gdyni
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Uwaga, niebezpieczeństwo!” — dramat obyczajowy prod. greckiej
23.30 Komentarz dnia
23.35—23.40 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Piątek — 17 marca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Kuchnie świata
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Powracające wspomnienia” (2) — film obyczajowy prod. turec.
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.25 Mieszkać — wszechnicca budowlana
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: Okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Gra o milicję

17.55 70-lecie odzyskania niepodległości: Polska i sąsiedzi — program dok.
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.00 Pytania dnia
20.10 „Ziemia faraonów” — film historyczny prod. USA
21.45 Program publicystyczny

22.15 Czas — program publicystyczny
22.40 Jutro w programie
22.45 Studio sport: Mistrzostwa Świata w jeździe figuralnej na lodzie — Paryż '89 (pary taneczne)
21.00—0.15 Dt — echa dnia

PROGRAM II

16.55 Język angielski (50)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrostowa lista przebiegów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Ludzie, o których się mówi
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie” — cdc. 9 pt. „Odjazd, sto pięćdziesiąt” — serial fab. TVP
19.30 Dockola świata: „Z Konakri do Nordkapp”
20.00 „Piątek” — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Motyl na ramieniu” — film fab. prod. franc.
23.20—23.25 Komentarz dnia

Sobota — 18 marca

PROGRAM I

8.00 Tydzień na działce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino najmłodszych: „Bajka o Mrozie Czarekcieju” — film prod. ZSRR
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Zdrowie — wojskowy program publicystyczny
11.55 Telewizyjny prowincja
12.25 Telewizyjny Teatr Prozy: Hanna Krall — „Zdążyć przed Panem Bogiem”
13.30 Do trzech razy sztuka — program z udziałem aktorów, piosenkarzy i dziennikarzy
14.05 Program dnia
14.10 Komedie, komedie, komedie: „Jak rozpełtałem II wojnę światową” — cz. 3 pt. „Wśród innych”
15.25 Losowanie Dużego Lotka
15.35 Flesz — magazyn muzyczny
16.05 Studio sport
16.30 Teleshov: Kto pierwszy (1) — teleturniej
17.00 Teleexpress
17.15 Teleshov: Kto pierwszy (2)
17.45 Studio sport: Mistrzostwa Świata w jeździe figuralnej na lodzie — Paryż '89 (program dowolny kobiety)
18.30 Butik — magazyn Grażyny Sześcińskiej
19.00 Dobranoc: Jez Kleofas — nowy listonosz
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Sokolnicy
19.30 Dt
20.05 „Billy Jack” — dramat społeczno-obyczajowy prod. USA
22.00 Program publicystyczny
22.30 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.40 Telewizyjny przegląd sportowy oraz Puchar Świata w lotach narciarskich
23.20 Dt — wiadomości
23.25 Jutro w programie
23.30—1.00 Kino sensacji: „Zabójcy” — film prod. USA

PROGRAM II

14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie

15.00 „Po wodach południowej Florydy” — film przyr. prod. USA
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.40 Meandry architektury: Pisanie po ścianie
16.00 Globalna wioska
16.15 „Tajniki przyrody” — cdc. 2 pt. „Tygiel życia” — serial dok. prod. ang.
16.45 Spotkanie z Maciejem Hlowieckim
17.00 Legendy filmu: Jean Paul Belmondo

18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska

18.30 Wielka gra — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Alicia de Larrocha w Warszawie — IV koncert fortepianowy Ludwiga van Beethovena G-dur op. 58
20.05 Dolnośląski magazyn rozmałości
21.30 Panorama dnia
22.00 „Raj odłożony na później” — cdc. 8 pt. „Różne domysły” — serial fab. prod. ang.
22.50 Komentarz dnia
22.55—23.25 „W labiryncie” — cdc. 11 pt. „Odjazd, sto pięćdziesiąt” — serial fab. TVP (powt.)

Niedziela — 19 marca

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek, a w nim „Szwajcarscy Robinsonowie” — serial przygod. prod. kanad.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku” — cdc. 4 pt. „Powrót do raj” — serial dok. prod. ang.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
13.00 Teatr Młodego Widza: Giorgio Strehler — „Historia porzuconej lalki”
14.00 „W kamiennym kręgu” — cdc. 74 i 75 serialu fab. prod. brazył.
16.00 Studio sport: Mistrzostwa Świata w jeździe figuralnej na lodzie — Paryż '89 (pokazy mistrzów)
18.00 Teleexpress
18.15 „Wszystko jest dobre, co jest Polską” — program o Zofii Kossak-Szczuckiej-Szatkowskiej
18.40 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Rzeka kłamstwa” (3) — serial obyczajowy prod. pol.
21.30 Raport — 7 dni
21.40 Sportowa niedziela
22.40 „Kalendarz polski” — film dok. Franciszka Kuduka

23.10 Szkic do katalogu polskiej sztuki współczesnej — reportaż
23.25 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.30 Dt — wiadomości
23.35 Jutro w programie

PROGRAM II

8.55 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.25 „Rzeka kłamstwa” (3) — serial fab. TVP (dla niesłyszących)
10.50 Krótkofalowcy — wojskowy program public.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro w programie — magazyn spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Studio sport: Mistrzostwa Polski w boksie
13.05 100 pytań do...
13.45 „Polacy” — film dok.
14.25 Pędzące w czasie i przestrzeni: „Powiązania” — cdc. 5 pt. „Kęto fortuny” — serial dok. prod. ang.
15.15 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko”: „Lisica” — prod.

jugosl. „Pieńko nad chmurami” — prod. ZSRR
16.00 Studio hi-fi
16.15 Kino rodzinne: „Outsider” — film obycz. prod. CSRS
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnej
19.00 Goście Daniela Pas-senta
19.30 Jubileusz teatru — dziesięciolecie Teatru Powszechnego w Radomiu
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Studio hi-fi
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny” — film fab. prod. USA
22.45 Filozofia dialogu
23.25 Komentarz dnia
23.30—23.35 Dobranoc dla dorosłych: Listy heter

Poniedziałek — 20 marca

PROGRAM I

16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Ze świata muzyki i plotek
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Reklamy z prezentami
17.40 Echa stadiów
18.30 Laboratorium: Krzem
18.50 Dobranoc: Lisica
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizyjny: „Ostatnie lato albo pierwsza pieczęć”; reż. Mikołaj Grabowski
21.25 Program public.
22.00 Gwiazdy jazzu — Wayne Shorter
22.25 Sportowe disco
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język niemiecki (20)

PROGRAM II

16.55 Język niemiecki (20)
17.25 Program dnia
17.30 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Tele-trans
19.30 Yehudi Menuhin — Varsovia — Warszawa
20.05 Mieszkaniec roku — reportaż Cezariusza Papiernika z Golubia Dobrzyń
20.35 Osądźmy sami
21.15 Zamyślenia — program Halszki Wasilewskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Koncert na koniec lata” — film prod. CSRS o Antonim Dworzaku
23.25 Komentarz dnia

Wtorek — 21 marca

PROGRAM I

8.35 Domator: Rady na życie; Chcę schudnąć dla zdrowia i urody
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Evita Peron” (1) — film fab. prod. USA
11.15 Domator: Rady na życie
16.00 Program dnia. Dt — wiadomości
16.05 Gazeta rolnicza
16.25 Tik-Tak, a w nim film animowany prod. austr. „Cudowna podróż” (25)
17.15 Teleexpress
17.30 „Adwokat z Old Bailey” (2) — „Dezustacja na ślepo” — serial krym. prod. austr.
18.30 Kronika Zdrowego Człowieka
18.50 Dobranoc: Sniegowe skrzaty
19.00 10 minut
19.10 Od a do z — „s” jak schowek — program public.
19.30 Dt

20.05 „Evita Peron” (1) — film fab. prod. USA. Reż. Marvin Chemsky. W roli gł. Faye Dunaway
21.45 Konferencja prasowa rzecznika rządu
22.05 Wódka, pozwól żyć...
22.35 Dt — echa dnia
22.55 Język angielski (20)

PROGRAM II

16.55 Język angielski (20)
17.25 Program dnia
17.30 „Szukające nowości” (3) — „U progu sztuki współczesnej” — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 „Apartheid” (2) — „Nowy porządek 1948—1964” — serial dok. prod. ang.
19.30 Kolorowy zawrót głowy — magazyn narciarski
20.00 Non stop kolor: „Brown Sugar” (4, ostatni) — serial dok. prod. USA
21.00 Na warsztacie historyka — prof. Jerzy Borejsza
21.30 Panorama dnia
21.45 „Dorastanie” (4) — „Lata 1975—1976” — serial obyczajowy TVP
22.45 Komentarz dnia

Środa — 22 marca

PROGRAM I

8.35 Domator: Nasza poczta; Szkoła dla rodziców: Wszystko o oczach
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Spotkania na Ictniku” (8 ostatni) — „Ponowny start” — serial obycz. prod. NRD
10.40 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 Bariery
16.25 Scena TDC — Przygoda z sonatą
16.25 Dla dzieci: Cojak — teleturniej
17.15 Teleexpress
17.30 Lex — zapowiedź programu o ZBoWiD
17.35 Spojrzenia
18.05 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj: Archiwum XX w.
18.50 Dobranoc: Plastikowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Lex — magazyn społecz.-prawny (1): ZBoWiD wobec reorganizacji
19.30 Dt
20.05 Zwierciadło czasu: „Długie pożegnania” — dramat obycz. prod. ZSRR
21.40 Lex — magazyn społecz.-prawny (2)
21.50 Raport
22.20 Rozmyślenia prof. Mariana Stepienia
22.30 Konstanty Ildfons Gęłczyński: „Wielknaoc Jana Sebastiana Bacha” — monodram w reżyserii i wykonaniu Henryka Boukolowskiego
23.10 Dt — echa dnia
23.30 Język rosyjski (21)

PROGRAM II

16.55 Język rosyjski (21)
17.25 Program dnia
17.30 Wiem wszystko — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron świata — magazyn reporterów
19.00 Rzeczpospolita nieznaną — Wilno
19.45 Georg Friedrich Haendel — „Xerxes” — reportaż z nagrania płyty z udziałem Orkiestry Kameralnej PRiTV pod dyr. Agnieszki Duczmal
21.10 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „07 złóż się” — „Wagon pocztowy” — serial TVP
22.45 Telewizja nocą
23.30 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzieciotek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stepien (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 233-88 (działy). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch”, ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch” i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409. Zam. 377 6.03.1989 r. B-5

POLSKIE GOSPODARSTWO

ZABRAĆ BIEDNYM, ABY DAĆ BOGATYM (3)

JEZELI spojrzeć na dzieje gospodarcze i polityczne PRL, to trzeba dojść do wniosku, że w ciągu swojego istnienia państwo to nie rozwiązało właściwie żadnego problemu, który jest fundamentalny dla pomyślnego rozwoju społeczeństwa. Przeciwnie: wszędzie tam, gdzie państwo, korzystając ze swojej omnipotencji, narzucało bądź wymuszało monopol, sytuacja poczynała pogarszać się systematycznie, by po iluś latach osiągnąć stan całkowitej zapaści.

Dotyczy to prawie każdej dziedziny życia zbiorowego: budowania mieszkań, oświaty, handlu publicznego, służby zdrowia, telekomunikacji i transportu. Wreszcie — rolnictwa, które przez całe czterdziestopięcioletnie powojenne nigdy nie mogło stanąć na nogi, ponieważ jego normalny, zgodny ze społecznym interesem rozwój skutecznie blokowała państwowa polityka podatkowa, skupu i zaopatrzenia rolnictwa w narzędzia pracy.

Tak więc, z jednej strony, głoszone były piękne hasła i programy, z drugiej natomiast, przez odpowiednie przepisy prawa ustanawiane przez tę samą władzę, uruchamiano mechanizmy blokujące normalny, pozytywny i potrzebny narodowi rozwój. A odnosiło się nieraz wrażenie, jakby komus specjalnie zależało na tym, aby Polska staczała się w przepaść. Jakby ktoś tym sterował, jakby ustanawiano nonsensy prawne, organizacyjne, kadrowe i systemowe wyłącznie w tym celu, by ten kraj, posiadający wszelkie warunki ku budowaniu własnej pomyślności i bogactwa, był ciągle pariasem.

I nie słyszałem nigdy, powtarzam: nigdy, aby jakiś polityk czy działacz, który narobił w tym kraju szkód, został pociągnięty do odpowiedzialności za „szkodzenie socjalizmowi”.

To, że socjalizm stał się w PRL synonimem pustych sklepów mięsnych,

a tzw. budownictwo socjalistyczne można sobie dokładnie zobaczyć na każdym placu budowy, wynika przecież nie z jakichś przyrodzonych cech Polaków. Indywidualny Polak, co widać zwłaszcza wśród pokolenia najnowszej emigracji, bije często przedsiębiorczością i pomysłowością swojego cudzoziemskiego rówieśnika na głowę. Jak więc to jest, że we własnym kraju nie może się on niczym wykazać?

Weźmy przykład szkoły. Nie od dzisiaj wiadomo, i to wiadomo na całym świecie, że najlepszym nauczycielem jest taki człowiek, który czegoś od życia i świata chce. Który jest nonkonformistą, który jest duchowo (ale i ekonomicznie) niezależny i odważny. Zdawałoby się, na pierwszy rzut oka, że właśnie tacy ludzie powinni być ulubieńcami władzy, która głosi, że buduje socjalizm, boć przeciw socjalizm ma być ucieleśnieniem najpiękniejszych ideałów ludzkich.

I oto tacy akurat ludzie, zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego w roku 1981, byli masowo rugowani i odsuwani od pracy z młodzieżą. Według tego samego klucza wyrzucano zresztą na bruk ze wszystkich zakładów pracy. Chciano się po prostu pozbyć tych, którzy mają moralny autorytet, którzy potrafią się sprzeciwić bzdurze i znajdują argumenty, by przekonać kolegów.

Jeżeli sporządzimy np. listę pozbawionych pracy dziennikarzy, to okaże się, że jest to sam kwiat tego zawodu. To autorzy wspaniałych książek, tłumaczonych na cudzoziemskie języki, to wybitni znawcy spraw gospodarczych, to ludzie solidni i uczciwi, którzy cieszyli się niekwestionowanym autorytetem zawodowym i moralnym. Kto taki? Proszę bardzo: np. Ryszard Kapuściński i Stefan Bratkowski, Wojciech Giełżyński i Maciej Ilowiecki, Jacek Maziarski i Teresa Torńska. Kto

stracił na tym, że głosu tych ludzi zabrakło w prasie „pierwszego obiegu”. Oni? Oni nie, gdyż albo dalej robili swoje, tylko dla mniejszego kręgu czytelników, albo wyjechali w świat, gdzie mogli ich słuchać studenci zagranicznych uniwersytetów.

Prawie każdy nauczyciel powie dzisiaj, że chyba nikt ostatnio nie wyrządził polskiej szkole tyle szkód, co były minister Jerzy Kuberski. Ale z tego, jak funkcjonuje nasza oświata, wynika chyba, że „szkole socjalistycznej” bardziej zagrażają ludzie mądrzy i odważni niż nieudolni, bezmyślni urzędnicy. Ministerstwo czuje się zagrożone, że powstanie w kraju kilkanaście szkół prywatnych, natomiast nic nie robi w tym kierunku, aby do pracy w szkole garnęli się najlepsi i najuczciwsi. Przeciwnie — tych najlepszych nieustannie się zniechęca i upokarza, z czego można wysnuć wniosek, iż władzy w PRL zależy na tym, aby utrwalić dzisiejszy model szkoły.

Wszystko się jednak ze sobą łączy. Wartościowi byli nauczyciele handlują pietruszką, zaś pseudostróż społecznych interesów gania ich za to. Ponieważ tych pierwszych wykształciło państwo, powiadają ci drudzy, należy ich powtórnie zagnać na państwowe posady. Nonsens takiego rozumowania widzi każdy, bo to właśnie państwo odsunęło ich od pracy z młodzieżą. No tak ale przecież wskutek rugów w dzianikarstwie obniżył się także poziom krajowej prasy, nie dziwota przeto, że co rusz spotykamy w druku tyle bzdur.

Niestety, ten mechanizm selekcji negatywnej nie został ani zatrzymany, ani nawet odrobinę uszczuplony. W dalszym ciągu w tych zawodach, które mają możliwość wywierania wpływu na opinię publiczną, preferowani są ludzie nijacy, posłuszni, konformiści i serwilisci. Całe (bez wyjątku) dzieje PRL dowiodły niezbicie, że jest to mechanizm szkodliwy i dla państwa, i dla narodu, a także dla samej władzy. Ale z uporem, godnym lepszej sprawy, władza nie umie na razie się zań wycofać.

Jak długo jeszcze będziemy poddawani temu eksperymentowi?

Andrzej W. Pawluczuk

SCEPTYK W MONTE CARLO

UWIELBIAM sceptyków. Tych zadowolonych, nieuleczalnych i totalnych. Sceptyków odruchowych, spontanicznych. Co za wspaniałe typy! Jakże żaluje, że ta grupa niedowiarów jest dla społeczeństwa szczególnie uciążliwa, a już istną zakałą jest dla każdej władzy.

Nie należą nigdzie i do niczego. Wszędzie upatrują dziury w całym. Nie dowierzają obietnicom, prognozom radosnym i czarnym, nie wierzą w reformowalność systemów i ludzi. Zawsze trzymają się z boku. Nikomu i niczemu nie kibicują; stoja i sobie patrzą.

Ze sceptyka nie da się ulepić niczego, ani mistrza kompromisów, ani podkładacza bomb. Na sam dźwięk słowa „partia”, taka czy inna, z uszanowaniem uchylają kapelusza i natychmiast odchodzą. Na rzekome nowości i wszelkie rewelacje spoglądają z politowaniem. Dla nich wszystko już było. Reszta to kalka lub szarlataneria.

Jest grubą pomyłką zaliczanie takich odyńców do tak zwanej milczącej większości. Większość to tłum. Ogromny tłum, dający się manipulować, manewrować, napaść, urobić. Sceptyka nie da się urobić, choć bynajmniej nie jest człowiekiem neutralnym wobec przeróżnych nerwic społecznych czy politycznych.

Sceptyk czuje się nieszczęśliwy, gdy chwilowo widzi tylko jedną stronę zagadnienia, gdy jeszcze nie dostrzeże drugiej, negatywnej lub choćby alternatywnej. Stroni od ludzi jednowymiarowych, ukształtowanych na jedno kopyto. Nawet chór kościelny napawa

go niechęcią; gdy on oczekuje ścierania się kontrapunktów, tu serwują mu zaledwie polifonię!

W małżeństwie jego ambiwalencja święci prawdziwe tryumfy. Wszystko wyszło dokładnie tak, jak to przewidział na ślubnym kobiercu. Zona okazała się ani aniołem, ani potworem. Dzieci ani mądre, ani głupie; ani złe, ani dobre, teściowa w uniwersalnej odrażliwej postaci, sens małżeństwa co najmniej dyskusyjny, jego korzyści relatywne.

Sceptyk nie jest szydercą. Szydzić to stawać po drugiej stronie. Przyznać jej rację i bronić.

Nie jest także pochlebcą. Schlebiać to akceptować. Jak można akceptować coś, co jest immanentnie względne, posiada po równo tyle argumentów za, jak i przeciw?

Wbrew pozorom, sceptyk nie alienuje się z rzeczywistości, z najbliższego otoczenia. Nie odrzuca ich. Tkwi w epicentrum zdarzeń, ludziów oraz ich spraw. Przyjmuje razy z lewa i prawa, sam nie oddaje. Krzywdą byłoby zarzucić mu siedzenie okrzakiem na barykadzie. Barykady, rewolucje i kontrewolucje napawają go wstrętem i wręcz zabobonnym lękiem, jako mordercze skrajności, obłudne utopie u chwilowej władzy.

Co z takim począć? W zasadzie to nic. Jest to rodzaj duchowego czy raczej intelektualnego kalectwa, czegoś w rodzaju rozdwojenia jaźni lub podniebienia. Eutanazja przecież nie wchodzi w rachubę.

Spróbujmy posadzić takiego totalnego sceptyka przy okrągłym stole. Natychmiast wszystko zepsuje. Stół z

miesca wyda mu się kołem wielkiej oszukańczej ruletki, a ludzie przy nim siedzący — żetonami w rękach zawodowych hazardzistów. W tym Monte Carlo zastanie niby takich jak on, samych sceptyków, lecz jakże innych. Bez trudu odkryje, że dzielą się na dwie grupy śmiertelnie pewnych swoich racji graczy. Ich rzekomą gotowość do kompromisów przyjmie jako taktyczne ustępstwo, weksel bez pokrycia: przy najbliższej okazji wyrzucą go za okno, wyprzą się; to było ultimatum podpisane z pistoletem u skroni!

Prawdziwy, totalny a więc i uczciwy sceptyk nie wypiera się niczego, co wcześniej podpisał, ani zwłaszcza tego, czego nie podpisał. Ponieważ przeważnie nigdy niczego nie podpisał, łatwo mu pozostać wiernym swoim autografom. Na liście płac.

Cenną sprawą jest mieć takiego po swojej części stołu. Wspaniały gwarant wiarygodności! Marzą o tym obie półki stołu, ale nie ujrzą go ani tu, ani tam. Przyczyna jest prosta: nie ma go na sali. Nie przyjdzie. Wie, co jest grane. O co toczy się gra.

Ilu ich jest? Bóg raczy wiedzieć. Można jedynie oczekiwać, że populacja totalnych sceptyków rośnie, choć mogłoby się wydawać, że jest to gatunek schyłkowy. Warto by też ustalić stopień ich społecznej szkodliwości lub przydatności. Gdyby okazało się, że samo ich ponure, obojętne istnienie jest czystą bezinteresowną destrukcją, trzeba działać. Józef Stalin na dokumentach poety-sceptyka, jakim okazał się Osip Mandelsztam, napisał odręcznie: „Izolować, ale zachować!” Izolowano, lecz nie zachowano. Józef ma ostatnio złą prasę, lecz czas lubi płatać figle. Osip ma lepszą, ale czas lubi płatać figle.

Hen Spider

KTO JEST KIM W REGIONIE

KONDIELA Joachim. Lat 57. Ksiądz profesor dr. hab. Politolog, Absolwent Wydziału Filozofii i Teologii KUL. Studia uzupełniające w zakresie stosunków międzynarodowych — w Austrii, USA i RFN. W latach 1974—75 profesor na Uniwersytecie Columbia (USA). Kierownik Katedry Katolickiej Nauki Społecznej w KUL. Dziekan Wydziału Nauk Społecznych KUL.

Sposób na życie: żyć uczciwie; nie tylko dla dobra własnego; dla drugich, ale także dla dobra wspólnego społeczeństwa.

KOZIDRAK Beata. Lat 29. Męzka. Córka Katarzyna. Piosenkarka. Zadebiutowała na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu w 1978 roku. Ma na swoim koncie udział w sześciu festiwalach, a z pięciu z nich wróciła z nagrodami. Występowała w ponad 20 krajach świata (m.in. w USA, Kanadzie, ZSRR, RFN, nawet w Wietnamie). Rok 1989 zamknie dorobkiem sześciu płyt. Laureatka Grand Prix Festiwalu MESSAM w Belgradzie. Zaproszona na największy festiwal piosenki do Tokio.

Za sposób na życie uważa: miłość, muzykę i pracę nad sobą. Lubi pływanie i wypoczynek w spartańskich warunkach, z dala od cywilizacji.

PAPLIŃSKA Maria. Urodzona w Zamściu. Dwoje dzieci: syn Janusz i córka Jolanta. Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji UMCS w Lublinie. W latach 60. przewodnicząca Miejskiej Komisji Planowania Gospodarczego. W latach 70. ekonomistka budowy na kontrakcie w NRD (trzy i pół roku). Od 1980 dyrektor lubelskiego oddziału Banku PKO S.A.

Jest optymistką z natury. Wierzy, że musi być lepiej. Optymizm inspirują ją do podejmowania coraz trudniejszych zadań. To, co robi, robi z pasją. Interesuje się muzyką i malarstwem.

ZARKOWSKI Jan, lat 59 dwoje dzieci, syn i córka. Dyrektor Naczelny Fabryki Łożysk Toczących w Kraśniku. Absolwent Politechniki Warszawskiej. Po studiach zatrudniony w Krakowie, potem z Zakładach Metalowych w Nowej Dębie. Od 1959 roku w Kraśniku, od 1974 roku dyrektor naczelny FLT.

Brak szczególnego hobby. Spytany o sposób na życie, odparł: „W cyrku, jaki ostatnio obserwujemy, nie dostrzegam żadnej prawidłowości. Nie oznacza to rezygnacji, to tylko realistyczna ocena. Być może nie jest to sposób na życie, lecz na pewno jego aktualny ogląd”.

W NUMERZE 10. OPUBLIKUJEMY:

● ROZWAŻANIA R. BUGAJA O GOSPODARCE I POLITYCE ● POSELSKI GŁOS W SPRAWIE B. BIERUTA ● LISTY I POLEMIKI ● „ZIELONE PUŁAWY MUSIAŁY ZŁOŻYĆ BRON” ● „GIGANT PRZED ZGONEM” ● „BALLADA O MARIUSZU” ● „PORTRET” S. MROŻKA NA SCENIE ● KUROPATY ● KATYŃ ● LUBELSKA „BIAŁA PŁAMA” ● CO ROBI RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH? ● „RELACJE” O „RELACJACH” ● W STRONĘ WILEŃSZCZYZNY ● „APOTEOZA CIAŁA” ● ŁOBODOWSKI ● PAMIĘTNIK Z ŁAGRÓW ● JAKA POLSKA — JAKA WŁADZA? ● PROGRAM TV.